

Biblioteka Politechniki Krakowskiej

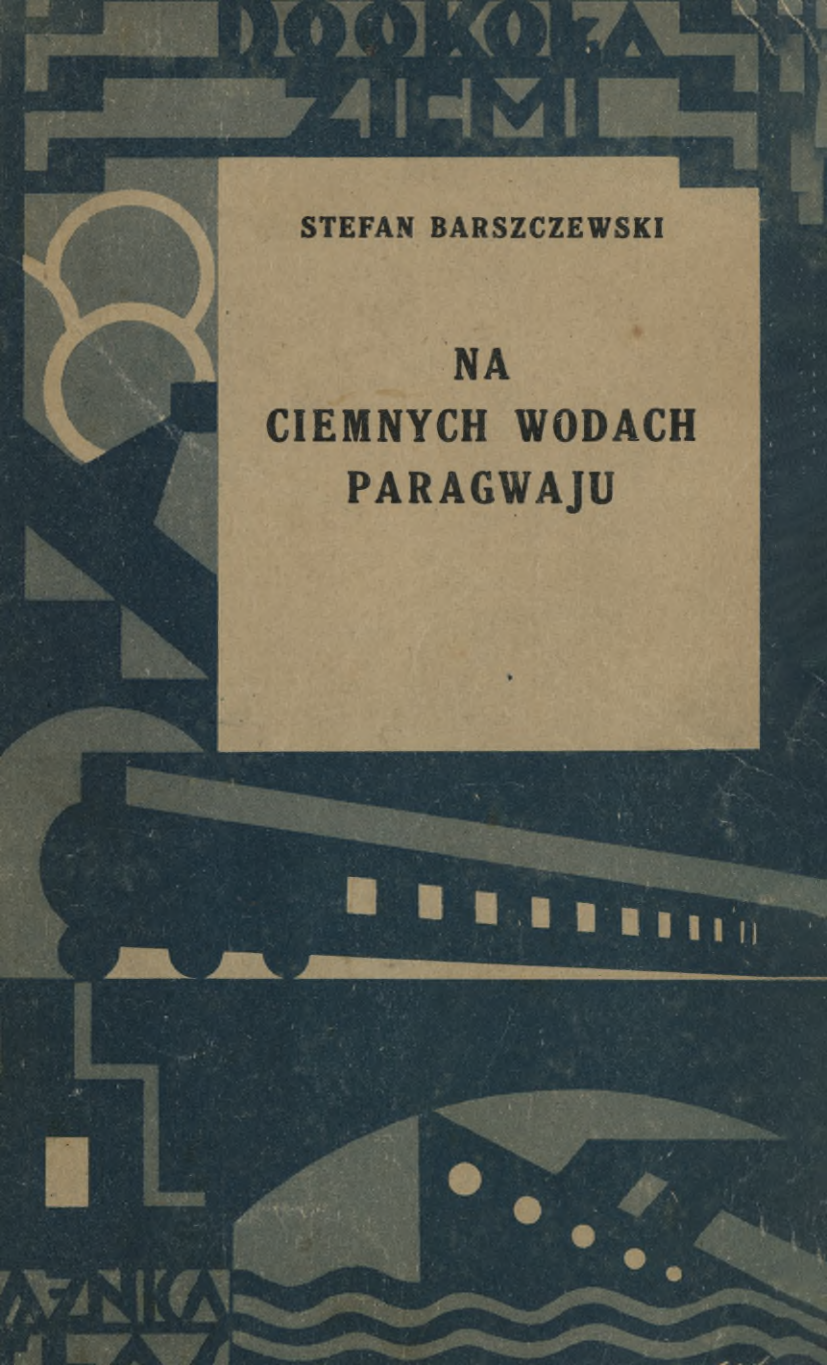


10000231503

DOOKOŁA
ZIEMI

STEFAN BARSZCZEWSKI

NA
CIEMNYCH WODACH
PARAGWAJU



KSIĄŻNICA-ATLAS S. A.

LWÓW, UL. CZARNECKIEGO 12 — WARSZAWA, UL. NOWY ŚWIAT 59

poleca

DOKOŁA ZIEMI

RED. DR. STANISŁAW WŁAD.

Biblioteka geograficzno-podróżnicza uzupełnia wiadomości czytelnika o życiu, zwyczajach i obyczajach narodu, skierowuje jego uwagę na przeróżne zjawiska geograficzne i zaznajamia go z całą ziemią jako siedzibą ludzką. Biblioteczka ma się stać dla nauczyciela i młodzieży ważną pomocą szkolną, dla szerokich sfer czytelników miłą i pożyteczną lekturą, stwarzającą wartości trwałe w wykształceniu ogólnem.

1. *St. Pawłowski*: **Francja**. Kraj i ludzie 2·40
2. *B. Błażek*: **Przez kraj słonecznych dolin i górskiej głuszy**. Bułgarja 5·40
3. *T. Nittman*: **Pod ręką Fatmy**. Słoneczny Alger —
4. *S. Barszczewski*: **Na ciemnych wodach Paragwaju** —

Dalsze tomiki w druku.

BIBLIOTEKA ISKIER

POWIEŚCIOWA I POPULARNO-NAUKOWA

1. *K. Dickens*. **Małenka Dorrit**. Brosz. zł. 5·80, karton 7·30
2. *J. Marcinowska*. **W upalnym sercu Wschodu**. Brosz. zł. 4·20, karton 6·—
3. *J. H. Fabre*. **Szkodniki**. Brosz. zł. 4·50, karton . . . 6·—
4. *J. H. Fabre*. **Nasi sprzymierzeńcy**. Brosz. 4·50, karton 6·—
5. *B. Ostrowska*. **Bohaterski Miś**. Brosz. zł. 3·—, karton 4·50
6. *K. A. Czyżowski*. **Szalony lotnik**. Brosz. zł. 3·—, karton 4·20
7. *B. Merwin*. **Dwunastka**. Brosz. zł. 3·—, karton . . . 4·20
8. *K. Dickens*. **Dawid Cöpperfield**. Brosz. zł. 5·40, karton 6·80
10. *A. Pisuliński*. **Szlakiem słonia afrykańskiego**. Brosz. zł. 5·50, karton 7·—
11. *W. Scott*. **Kwintyn Durward**. Brosz. 5·40, karton . . 6·80

Ciąg dalszy na str. 3-ciej

Jena

EGZ. RECENZYJNY

D O K O Ł A Z I E M I

BIBLIOTECKA GEOGRAFICZNO-PODRÓŻNICZA

WYDAWANA STARANIEM ZRZESZENIA POLSKICH NAUCZYCIELI GEOGRAFJI

T. 4

STEFAN BARSZCZEWSKI

NA CIEMNYCH WODACH
PARAGWAJU

WSPOMNIENIA Z PODRÓŻY

8 ILUSTRACJY



K S I A Ź N I C A - A T L A S

ZJEDNOCZONE ZAKŁADY KARTOGRAFICZNE I WYDAWNICZE

TOW. NAUCZ. SZKÓŁ ŚREDN. I WYŻSZ. — SP. AKC.

LWÓW — WARSZAWA

1931



I - 348 136

II ~~37.682~~

2364

Zakłady Graficzne Ski Akc. Książnica-Atlas we Lwowie

Akc. Nr. 11 955/59

W s t ę p.

Z dziejów Paragwaju.

Jakby wtłoczona pomiędzy Argentynę, Boliwję i Brazylję, rozpościera się na przestrzeni 253.100 kilometrów kw. (niemal dwie trzecie obszaru Rzeczypospol. Polskiej) kraina malownicza, bogata w stepy i lasy dziewicze, o dziejach niezmiernie dramatycznych, a jednak mało nam znana, tak ze względu na swe położenie geograficzne, jak i skromny udział w sprawach znaczenia międzynarodowego.

W 1527 r. Wenecjanin, Sebastjan Cabot (Caboto), wysłany przez Karola V na poszukiwanie wysp Moluckich, zamiast tam, znalazł się, w poszukiwaniu krainy złota, na wodach rzeki Paragwaju, zbadał dopływ jej, Bermejo, a nie znalazłszy złota, zawrócił i w drodze powrotnej założył pierwszą w tych stronach Ameryki Południowej placówkę europejską: fort Santo Espiritu, w pobliżu dzisiejszego miasta argentyńskiego Santa-Fé.

Od tej chwili datuje się początek dziejów Paragwaju, ale niemal że od tej samej chwili kraina ta staje się widownią ciągłych rozterek, intryg, spisków i rokoszów.

Zaledwie czternaście lat minęło, a ofiarą tych intryg pada jeden z najodważniejszych marynarzy XVI wieku, Alvar Nunez Cabeza de Vaca, znany już

z niestychanej na owe czasy wędrówki lądem, z trzema tylko towarzyszami, przez nieznanie zupełnie krainy, niemal od ujścia rzeki Mississippi do wybrzeży oceanu Spokojnego, na terytorjum dzisiejszego stanu meksykańskiego Sonora.

Cabeza de Vaca (dosł. Głowa Krowia) należał wówczas do wyprawy Panfila de Narvaeza, towarzysza Corteza w podboju Meksyku. Narvaez, otrzymawszy od Karola V przywilej na ziemie półwyspu Florydy, wybrał się tam na czele 300 awanturników w 1527 r., a nie znalazłszy w długiej wędrówce w głąb lądu skarbów poszukiwanych, zawrócił z resztą swych ludzi nad zatokę Meksykańską, w nadziei dotarcia na łodziach jako tako skleconych do Nowej Hiszpanji, jak wówczas nazywano Meksyk. W pobliżu jednak ujścia Mississippi łódź Narvaeza, porwana burzą, tonie, Narvaez ginie w falach morskich, a z całej załogi łodzi dopływa do brzegu tylko Alwar Nunez Cabeza de Vaca z trzema towarzyszami, i odbywa z nimi wspomnianą wędrówkę.*

Mianowany w 1540 r. przez Karola V „adelantado” (namiestnikiem) posiadłości hiszpańskich, objętych nazwą ogólną Rio de la Plata, a podległych wicekrólowi Peru, Cabeza de Vaca ląduje w 1541 r. na terytorjum dzisiejszego stanu brazylijskiego Santa Catharina, i wyrusza stamtąd, odesławszy swój okręt do Rio de la Plata, lądem, na czele 150 żołnierzy i awanturników, w stronę Asuncion, założonego dnia 15 sierpnia (święto Wniebowzięcia N. M. P., po hiszpańsku: Asuncion) 1535 r. przez Juana

* Opis jej, p. t. „Naufragios“ (Rozbitkowie), ukazał się drukiem w Zamorze w 1542 r.

de Ayolasa, adjutanta Pedra de Mendozy, który wyruszył z Hiszpanji w sierpniu 1534 r. w celu podboju krain nad Rio de la Plata i dotarcia tą drogą do Peru.

Po rocznej, znów niesłychanej wędrówce przez góry, puszcze i stepy, w których nie powstała jeszcze noga Europejczyka, Cabeza de Vaca staje nareszcie dnia 11 marca 1542 r. u celu podróży, ale już po upływie zaledwie dwóch lat, wskutek jednego z tych spisków, których tyle zawierają dzieje zdobywców Ameryki Południowej, aresztowany jest i wtrącony do więzienia, a po kilku miesiącach odesłany przymocą do Hiszpanji.

I tak w ciągu 260 lat Paragwaj rządzony jest przygodnie przez różnych namiestników królewskich, bez ładu i składu.

Wprawdzie oo. jezuici, sprowadzeni w 1620 r. tworzą w siedem lat później w Paragwaju wschodnim słynne swe państwo misyjne, zakładają osady, budują drogi, stawiają świątynie i szkoły, uczą nawróconych Indjan rękodzieł i rolnictwa, a nawet wyrobu broni palnej dla obrony przed nachodzącymi państwo ich Paulistami (Brazyłjanami), z chwilą wszakże wygnania zakonu ze wszystkich posiadłości hiszpańskich w Ameryce Południowej (1768 r.), wszelki ślad działalności jego cywilizacyjnej w tych stronach ginie, a świątynie, drogi i całe osady okrywa szybko gąszczem nieprzebytym roślinność podzwrotnikowa.

Dopiero po rozbiciu i wypędzeniu załogi hiszpańskiej przez zbuntowanych Paragwajczyków, pod dowództwem Józefa Rodryga Francii, i ogłoszeniu nie-

podległości Paragwaju w 1811 r. (Argentyna dopiero w 1816 r.), Paragwaj zaczyna rozwijać się ekonomicznie i społecznie, a to wśród warunków wyjątkowych, gdyż ogłoszony dyktatorem Francia, choć sam fanatyczny wyznawca haseł Wielkiej Rewolucji francuskiej, rządzi krajem despotycznie, zamyka ściśle granice nowej republiki przed cudzoziemcami i towarami zagranicznymi, bądź co bądź jednak przywraca krajowi spokój, popiera handel i przemysł krajowy, zakłada szkoły.

Po śmierci Francii (1840 r.), kongres paragwajski uchwała państwowe prawa zasadnicze (13 marca 1844 r.) i obiera na prezydenta republiki Karola Antoniego Lopeza (1790—1862), siostrzeńca Francii. Ale jednocześnie ówczesny dyktator Argentyny, generał Rosas, odmawia uznania nowych rządów w Paragwaju, uzasadniając odmowę tem, że Paragwaj, jako część składowa wicekrólestwa hiszpańskiego, utworzonego w 1776 r., a obejmującego Argentynę, Boliwję (Alto Peru), Paragwaj i Urugwaj, powinien stanowić prowincję argentyńską.

Dopiero powstanie w Buenos Aires przeciwko krwawemu tyranowi i ucieczka Rosasa na okręcie angielskim do Europy (1852 r.) kładzie kres temu zatargowi, a kongres argentyński uznaje Paragwaj za państwo niezależne.

Dla Paragwaju nastaje drugi, dziesięcioletni okres rozkwitu i pomyślności. Wprawdzie Karol Antoni Lopez ogłosił się również dyktatorem, ale rządził rozumnie i energicznie, pokrył państwo siecią dróg, rozwinął zasoby materialne kraju i siłę jego wojskową, utrzymując przytem taki ład i porządek,

że ludność Paragwaju wzrasta szybko i dosięga, według spisu dokonanego w 1857 r., niebywalej, ani przedtem ani potem, liczby 1,337.841 głów.

Idylla ta wszakże trwa tylko do śmierci Karola Antoniego Lopeza, która nastąpiła w 1862 r.

Syn zmarłego, Franciszek Solano Lopez, obejmuje stanowisko po ojcu, powołany na nie przez kongres paragwajski jednomyślnie, wobec wielkich zasług dyktatora i na mocy pozostawionego przez niego testamentu.

Ale następca Karola Antoniego Lopeza zawiódł Paragwajczyków. Zarozumiały i ograniczony, prześląknięty duchem militaryzmu i ufny w siłę armji, którą wyposażył obficie w broń sprowadzoną z Europy, wyobraził sobie, że Opatrzność powołała go na „protektora równowagi nad Rio de la Plata”. W tym więc charakterze korzysta z pierwszej sposobności.

W 1864 r., popierany czynnie przez Brazylję, generał Flores wywołuje w Urugwaju bunt wojskowy przeciwko władzy prezydenta Aguirro. Lopez zwraca się do Brazylii z żądaniem, aby nie wtrącała się do spraw wewnętrznych Urugwaju, a gdy rząd brazylijski lekceważy to żądanie, Lopez konfiskuje okręt brazylijski, stojący w porcie Asuncion, więzi znajdującego się na tym okręcie gubernatora prowincji brazylijskiej, Matto Grosso, i wysyła do tej prowincji swe wojsko, które zdobywa stolicę jej, Cuyabę. Poczem, chcąc pośpieszyć na pomoc prezydentowi Aguirro, żąda od Argentyny pozwolenia na przejazd swego wojska przez prowincję argentyńską Corrientes. Prezydent Argentyny, generał Mitre, od-

mawia temu żądaniu. Wówczas Lopez wypowiada wojnę Argentynie i nachodzi Corrientes.

W Urugwaju tymczasem generał Flores odnosi zwycięstwo, obejmuje rządy i razem z Argentyną wypowiada wojnę Paragwajowi (18 kwietnia 1865 r.). Do nich przyłącza się Brazylja.

W ten sposób rozpoczęła się krwawa wojna pięcioletnia, która zniszczyła Paragwaj niemal do szczętnie.

Dzięki dobrze zorganizowanej armji Lopez bije początkowo przeciwników i każdego z osobna i wszystkich razem. Ale siły sprzymierzeńców rosną, gdy armja otoczonego zewsząd Paragwaju topnieje. Pomimo to, rok za rokiem walczy ona z niestłuchaną wytrwałością. Lecz dnia 10 sierpnia 1867 r. sprzymierzeńcy zdobywają twierdzę paragwajską Humaitá, a dnia 10 grudnia tego roku rozbijają Lopeza pod Lomas Valentinas.

Pod wpływem tych porażek dotkliwych, z natury podejrzliwy, mściwy i okrutny Lopez ulega manji prześladowczej. Przypisując niepowodzenia ostatnie zdradzie, każe aresztować i stracić kilkuset najwybitniejszych obywateli paragwajskich, a wśród nich własnych braci i szwagrów, ministrów, kapłanów, sędziów, oficerów, urzędników, tudzież około dwustu cudzoziemców, nie wyłączając członków legacyj zagranicznych.

Wywoławszy okropną tą rzezią postrach i grozę w całym kraju, walczy jeszcze kilkanaście miesięcy, ściągając przemocą do swych szeregów nawet starców i chłopców kilkonastoletnich. Do jakiego zaś stopnia obłędu i dzikości dochodzi, o tem świadczy

fakt, że gdy pod koniec wojny trzeba było, w braku zwierząt jucznych, używać kobiet do noszenia prowiantów i amunicji za wojskiem, każe mordować kobiety, padające ze znużenia i osłabienia, aby nie mogły służyć nieprzyjacielowi, a zarazem, ustępując przed naciskającymi go wrogami, pali i zrównywa z ziemią wszelkie osiedla ludzkie, niszczy zbiory i uprawne pola.

Wreszcie, przyparty z resztkami już swego wojska do granicy północnej Paragwaju i zaskoczony przez oddział wojska brazylijskiego generała Camary, ginie dnia 1 kwietnia 1870 r. od kuli brazylijskiej, gdy usiłuje ocalić się wpław przez rzekę Aquidaban.

Spis ludności, dokonany w 1873 r. świadczy wymownie do jakiego wycieńczenia, nietylko ekonomicznego, doprowadziła Paragwaj ta okrutna wojna. Otóż, według tego spisu, Paragwaj liczył wówczas wszystkiego 221.079 mieszkańców, a w tem zaledwie 28.746 mężczyzn w wieku ponad lat piętnaście. I kto wie, czy wogóle nie przestałby istnieć jako państwo niezależne, gdyby nie współzawodnictwo Argentyny i Brazylii o ten szmat ziemi.

Wszystkie późniejsze, tak zwykłe w krajach Ameryki łaćńskiej, *pronunciamentos** i mniej lub więcej krwawe rewolucje, których Paragwaj był widownią od czasu tej wojny, są wobec niej drobiazgiem, to też dziś liczy już do 830.000 mieszkańców i powraca do dobrobytu.

Z tej to krainy egzotycznej garść wspomnień i wrażeń pragnę podać czytelnikom w książce niniejszej.

* Dosłownie: Ogłoszenie powstania, wypowiedzenie posłuchu. Bunt.

Rozdział I.

Z pokładu „San Martina“. — Wyspa Martin Garcia. — Paraná. — Królestwo wapna i węgla. — Corrientes. — Gaucho korentyński. — Języki Quichua i Guarani. — Na ciemnych wodach Paragwaju.

Buenos Aires, stolica Argentyny, rozwija się wstęgą długą za nami, ale okazały parowiec rzeczny „San Martin”, z którego pokładu przypatruję się temu widokowi, szybko pruje fale La Platy, wkrótce więc miasto rozplywa się w oparach i tylko już zamglony szlak wybrzeża rysuje się niewyraźnie, lecz i on niknie wkońcu poza linją widnokrzęgu.

Silny wiatr południowy, t. zw. „pampero”, rzuca parowcem, jak na pełnym morzu. Większość podróżnych znika w kajutach.

Po jeździe czterogodzinnej, mijamy wyspę Martin Garcia, ciągnącą się długim pasmem niedaleko wybrzeży Urugwaju.

Ze względu na swe położenie geograficzne, wyspa ta powinna należeć do powyższego państwa, lecz Argentyna, zagarnawszy ją podczas walk swych o niepodległość, nie myśli wcale zwrócić jej sąsiadowi, a roszczenia małego Urugwaju pozostaną chyba zawsze tylko roszczeniami, bo rząd argentyński przywiązuje do tego skrawka ziemi wartość ogromną. Forty Martin Garcia, zaopatrzone w działa daleko-nośne, bronić mogą jednocześnie wstępu do dwóch

wielkich arteryj komunikacyjnych Ameryki Południowej: rzek Parany i Urugwaju, tu zlewających swe wody.

Skrećamy ku zachodowi. Na północny wschód rozpościera się szeroko ujście Urugwaju. Niski, okryty zaroślami klin ziemi zasłania je nam stopniowo, i oto wpływamy na wody Parany.

W języku Guarani:* Paraná Guazu, rzeka ta jest trzecią tak pod względem wielkości, jak i znaczenia, rzeką Ameryki południowej. O 2700 km. od swego ujścia bierze początek w prowincji brazylijskiej Goya, na płaskowzgórzu Estreito i źródłami swemi styka się z dorzeczem Amazonki. Opuściwszy granice Brazylii, płynie wzdłuż granicy Paragwaju i przy ujściu do niej rzeki Y-Guazu, inaczej Rio Grande de Curityba, wkracza w granice Argentyny, zrasza sześć prowincyj tego państwa i złączywszy wreszcie swe wody z wodami Urugwaju, tworzy ową olbrzymią przestrzeń wód słodkich, którą pierwsi *conquistadores* (zdobywcy) hiszpańscy nazwali Mar Dulce (Morze słodkie), a następnie Rzeką Srebrną (Rio de la Plata), a to dzięki przesłanym w 1527 r. do Hiszpanji przez Sebastjana Gabotto (Cabot) wyrobom ze srebra, które otrzymał był od krajowców.

Napozór poważna i cicha, Parana kapryśna jest, jak nasza Wisła, którą przypomina i barwą wody. Koryto jej zmienia się ustawicznie, to też parowiec nasz wciąż lawiruje, płynąc to przy prawym, to przy

* Jeden z trzech języków: Guarani, Quichua i Aimará, najbardziej rozpowszechnionych wśród ludów pierwotnych Ameryki Południowej.

lewym jej brzegu; to skręca pomiędzy wielkie, zielone wyspy, to wypływa na środek wód, do jeziora podobnych. Po drodze mijamy większe i mniejsze żaglowce i parowce, ożywiające monotony widok płaskich wybrzeży, cichej, lustrzanej tafli wód i jednostajnej zieloności zarośli pobrzeżnych.

Dnia następnego, ku wieczorowi, wynurza się zdala przed nami długi obłok czarny, dziwnie rażący na tle czystego błękitu niebios, zwiększa się, różowieje od zachodu. Powoli zarysowują się pod nim, we mgle, kominy, wieże, dachy domów miasta Rosario, drugiego co do wielkości i znaczenia w Argentynie.

W ostatnich czasach handel tego miasta, liczącego dzisiaj do 300.000 mieszkańców, rozwinął się olbrzymio i zwiększa się z dniem każdym, boć Argentyna przed laty jeszcze dwudziestu potrzebująca zboża i mąki na własne potrzeby, dziś zasypuje coraz bardziej rynki świata zbywającem jej zbożem i mąką w doborowych gatunkach; a Rosario, do którego dopływać mogą okręty oceanowe, obsługuje wielkie i bogate w zboże, tudzież inne płody rolne, prowincje argentyńskie: Cordoba, Santa Fé i Entre-Rios.

O świcie ruszamy w dalszą drogę. Szeroka płaszczyna wód srebrzy się przed nami.

W kilka godzin później podpływamy do Diamante, portu rozrzuconych szerokiem półkolem kolonij rolniczych prowincji Santa Fé. Niedawno pustkowie, obecnie miasteczko pokaźne. Główny kontyngens kolonistów tutejszych stanowią Niemcy, następnie Belgowie, Szwajcarzy, Francuzi i wreszcie

Żydzi, osiedleni na kolonji, utworzonej z funduszków bar. Hirscha.

Im dalej posuwamy się ku północy, tem więcej lasów po obu brzegach rzeki, tem urwistsze wybrzeża.

Około południa spostrzegamy wdali szereg białych domków na tle szarych skał wapiennych. To port miasteczka Paran, stolicy prowincji Entre-Rios (Midzyrzecze).

Z powodu płytkości wody parowiec staje zdala od wybrzeża. Podpływaj dziesitki łodzi, a przewoźnicy krzykliwie zachęcaj do nich.

Grono podróźnych z „San Martina” wybiera łódź największ, płyniemy do miasta. Wszystko tu białe. I szereg domów, i składy, i ziemię, i drzewa i ludzi pokrywa pył wapienny.

Zaprzeźony w parę mułów tramwaj oczekuje na podróźnych. Wsiadamy hurmem i tramwaj rusza pod górę. Po drodze mijamy kilka wielkich pieców wapiennych i dziesitki arb* skrzypiących, zaprzężonych w woły, a wiozących wapno do przystani. Co chwila uderzaj wzrok napisy: „*Cal viva y apagada*” (Wapno niegaszone i gaszone) — słowem istne królestwo wapna.

Wspiwszy się po zboczach i minwszy kilka zapyłonych ulic, tramwaj zatrzymuje się na obszernym, pustym, białym i skwarnym placu Konstytucji.

Co za cisza i spokój! Obchodzimy długie, jednostajne ulice, o domach przeważnie parterowych, zrzadka spotykaj przechodniów sennych i ocięża-

* Duży wóz dwukołowy o drewnianych osiach.

łych. Upał dokucza, wstępujemy więc do „confiterji” na szklanę piwa. Dwóch kelnerów, opartych głowami o ścianę, śpi na krzeselkach smacznie, choć nuchy zaglądają im do otwartych ust. Budzimy śpiochów i wypijamy duszkiem ciepłe piwo. Na placu czeka tramwaj. Muły śpią, zwiesiwszy łby, śpi i woźnica, śpi i konduktor. I nas sen ogarnia. Prędszej, prędszej do parowca, aby przespać to miasto śpiące!

Upał coraz dotkliwszy pomimo rozległej wód płaszczyzny i prądu powietrza, wywołanego przez szybki ruch parowca. Wieczorem moskity, zwabione światłami statku, kłują nas niemiłosiernie. Zato widoki coraz to piękniejsze, roślinność coraz bujniejsza. Gdzie niegdzie ponad lasami sterczą pióropusze palm.

Mijamy kolejno: osadę Santa Elena, znaną z istniejących tam zakładów przetworów mięsnych dra Kemmericha; La Paz, brudną, niebrukowaną miejscinę, czarną zupełnie, w przeciwieństwie do białej Parany, wskutek pyłu z węgla drzewnego, gdyż węglem tym, będącym jedynem paliwem kuchen południowo-amerykańskich, prowadzi handel obszerny; kolonję Ocampo z fabryką alkoholu i cukru z trzciny cukrowej, co oznacza, że wkraczamy już w strefę podzwrotnikową, tudzież miasteczko Bellavista, rzucone małowniczo na brzeg wysoki, wśród kęp gęstej zieleni.

Piątego wreszcie dnia podróży zatrzymujemy się nad ranem w Juarez Celman, porcie miasta Resistencia, stolicy małego zbadanego jeszcze terytorjum Chaco, a o godzinie 6-ej zrana zarzucamy kotwicę u lewego brzegu rzeki, naprzeciwko miasta Corrientes.

Docieram zatem do tych okolic, gdzie wpływ cy-

wilizacji i kultury europejskiej słabnie; gdzie obok sklepu z taniemi wyrobami fabryk niemieckich, widzę chatę chróścianą, ukrytą wśród figowców, pomarańcz i magnolij; gdzie o wytwornisia, w garniturze jasnym mody przedostatniej, ociera się gaucho * ciemnolicy z ponchem ** na ramieniu; gdzie poobiedni konjak lub likier zastępuje tykwa yerby (herbata paragwajska) albo miód leśny.

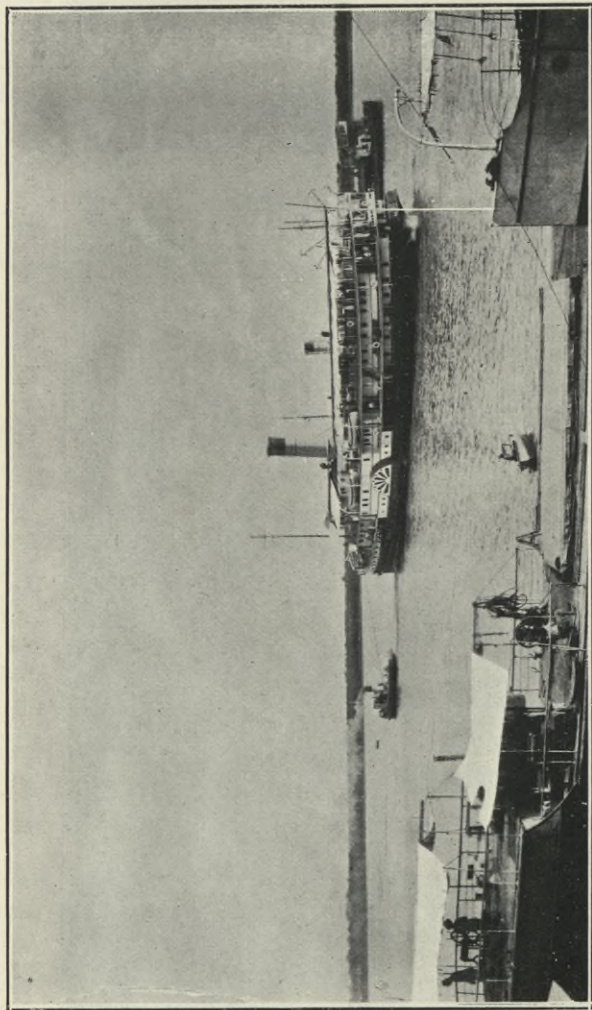
Miasto Corrientes położone niedaleko zbiegu dwóch wielkich prądów (*corrientes*) rzecznych: Parany i Paragwaju, założył już w 1588 r. Alonzo de Vera.*** Ale wskutek niedołężnej polityki kolonizacyjnej rządu hiszpańskiego, przespało ono snem letargicznym przeszło dwa stulecia i dopiero w wieku ubiegłym zaczęło rozwijać się zwolna. Jest ono stolicą prowincji tej samej nazwy, słynnej z błot wielkich, porośniętych sitowiem — siedliska jaguarów — z ładnych kobiet i wreszcie z bitności swych mieszkańców.

Rozrzuczone na wysokim brzegu, usianym czerwonymi skałami, przedstawia się od strony rzeki malowniczo. Traci jednak na uroku, gdy się zajrzy do niego. Ulice piaszczyste, gdzie nigdzie tylko zabrukowane. Chodniki z cegły, kamieni lub ubitej ziemi, wznoszą się często na metr ponad poziomem jezdni.

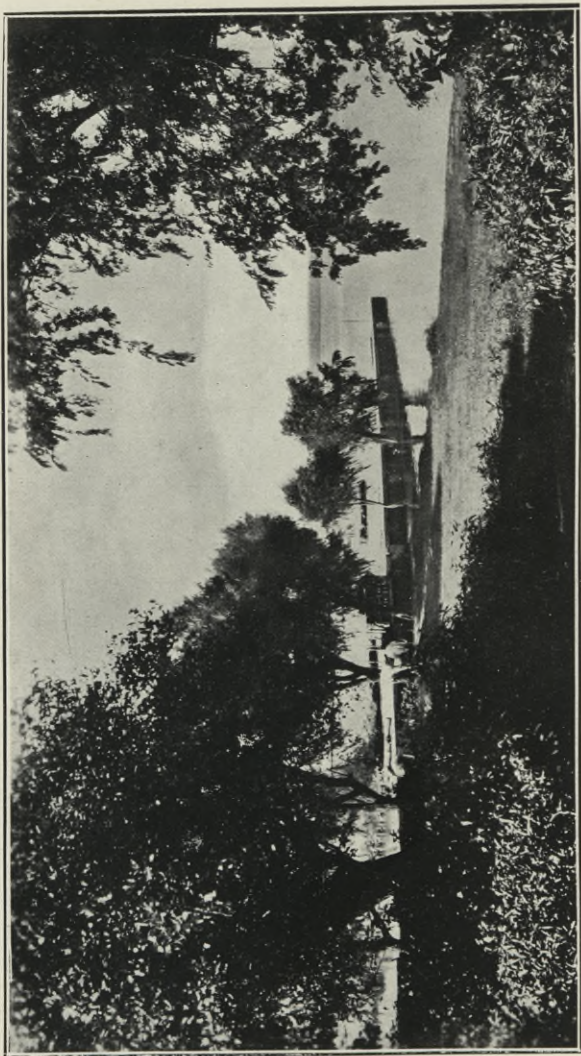
* Mieszkaniec stepu, pastuch, według niektórych potomków Maurów, przesiedlanych do Ameryki Południowej przez Hiszpanów w XVI w.

** Koc z przeciętym w środku otworem na głowę, zastępujący płaszcz.

*** Nazwa Corrientes ma pochodzić też, według innych źródeł, od siedmiu prądów, na jakie dzielią w tem miejscu rzekę wystające z niej skały.



1. Parowiec „San Martin“.



2. Rzeka Paragwaj pod San Bernardino, na pograniczu Brazylii.

Pośrodku miasta wielki targ murowany, pełen, z powodu rannej pory, życia i ruchu. Wśród kręcącej się ciżby przeważają znacznie liczbą kobiety o cerze oliwkowej i wielkich czarnych oczach. Dookoła targu całe szeregi osiołków, koni i mułów, pomiędzy zaś tłumem uwija się boso kilku policjantów, których jedynie po pałaszach i czapkach żołnierskich odróżnić można od reszty śmiertelników.

Od czasu do czasu podąża środkiem ulicy, dosiadając pięknego wierzchowca, mieszkaniec stepów i lasów tutejszych, gaucho dumny w ciemnym *chiripá** i różnobarwnym poncho, z lassem, spoczywającym na zadzie konia, i z krótkim batogiem w ręce.

Un gaucho correntino — to tyle co śmiały, nie ustępujący nikomu z drogi awanturnik, mszczący się strasznie za krzywdy istotne lub urojone, wiodący walkę ciągłą z policją i sędziami pokoju, istnymi królikami prowincyj argentyńskich, w czasie zaś rewolucyj, wybuchających tutaj niemal co kilka miesięcy dla lada powodu, dzielny żołnierz, wierny do ostatka temu, komu sprzyja. Każdy bowiem z tych gauchów, choć często ani pisać, ani też czytać nie umie, jest politykiem zawołanym.

Przy lada zatargu z władzą staje się *gaucho bravo* (gauchem dzikim), tępiącym wszystko, co władzę przedstawia. Przed laty słynął od Parany do Urugwaju taki gaucho typowy, straszny Gato Moro (Czarny Kot). Sam jeden walczył z całemi patrolami policyjnemi, napadał znienacka i mordował sędziów pokoju, czyhał, jak prawdziwy kot, po drogach

* Spodnie, utworzone z jednego kawała sukna, często chusty wełnianej, zatkniętej za pas z przodu i z tyłu.

i przesmykach na tych wszystkich, którzy, według jego pojęcia, władzę stanowili. Napadnięty wreszcie przez siły przemagające, zginął, nie złożywszy broni.

Inny taki gaucho, ale jeszcze słynniejszy z czynów krwawych, Juan Moreira, dawał się przez długi czas we znaki władzom prowincji Buenos Aires. Obaj zaś stali się bohaterami legend i pieśni ludowych, opowiadanych i wyśpiewywanych przy ogniskach koczowisk stepowych.

Powiadają także w Argentynie: „*Gaucho correntino ladron de vacas*” (gaucho korentyński — złodziej krów), nie wiem jednak, czy nie dałoby się zastosować tego przysłowia także do innych prowincyj?

Oprócz starożytnego *cabildo* (rada miejska) w kształcie twierdzy z zębami u szczytu murami, oprócz nieodzownego na środku skweru pomnika Wolności i kamiennej kolumny uwieńczonej krzyżem, a wzniesionej dla upamiętnienia walnej bitwy, stoczonej tu z Indjanami, w mieście niema budynków godniejszych uwagi. Gdzie niegdzie tylko grube mury domów, silnie okratowane okna lub balkony z kutego żelaza zwracają uwagę turysty i przypominają dawne, hiszpańskie czasy.

Ale na ulicach nie słyhać prawie języka hiszpańskiego, wkroczyliśmy bowiem w okolice, gdzie powszechny jest już Guarani, odwieczny język tutejszych Indjan.

Wielki szczep Indjan Guarani zajmował olbrzymią połąć lądu południowo-amerykańskiego, bo od Orinoko do Rio de la Plata, od oceanu Atlantyckiego niemal po Andy. Wszystkie prawie plemiona, za-

mieszkujące ten trójkąt ogromny, mówiły narzeczami języka Guarani. Dopiero skutek zaborezych wypraw potężnych Inków,* zwłaszcza Joki Jupankui (Mańkut, rozdający łaski) i Kapak Jupankui (Sam, wspaniałomyślnie rozdający łaski), którzy, przekroczywszy Andy, dotarli aż do Paragwaju — język Guarani ulega wpływom języka Quichua (kiczua), używanego w państwie Inków. Wpływ ten języka Quichua utrwalił się w wielu nazwach, używanych dotychczas, jak pampa — pole, step, puma — lew amerykański (*F. concolor*), Pilcomayo, właściwie Piscomayo — rzeka ptaków i t. d. W niektórych zaś okolicach Boliwji i północno-zachodnich prowincjach Argentyny języki Quichua i Aimará wyparły niemal zupełnie Guarani i zapanowały tam wszechwładnie.

Po opanowaniu Ameryki Południowej przez Hiszpanów i Portugalczyków, wiele wyrazów tych języków indyjskich przeszło do hiszpańskiego i portugalskiego, wytwarzając gwary dziwaczne, czasem nawet zupełnie niezrozumiałe dla Europejczyka, jak „*Lengua geral*“ na wybrzeżach Brazylii, albo — z dodaniem wyrazów holenderskich. — „*Papamiento*“ na Antylach holenderskich. W ten sam sposób — dodajmy nawiasem — z mieszaniny języka angielskiego z chińskim powstał ów twór dziwaczny: „*Pidgin English*“, używany w portach wschodnio-azjatyckich.

Czysty język Guarani panuje obecnie w południowej Brazylii, graniczącej z Paragwajem, w Pa-

* Inka — w języku Quichua: Syn słońca. Tak zwano władców Peru.

ragwaju i w prowincjach argentyńskich: Corrientes, Misiones (terytorjum pod względem administracyjnym) i w Chaco zachodniem.

Wielu z moich towarzyszków podróży włada tym językiem doskonale.

— *Mitá iponá! Kunia karai iponá!* * — odzywają się do ładniejszych kobiet, owiniętych w białe płócienne chusty, t. zw. manty, przypominające okrycia maurytańskie. Wyrazy te podobają się najwidoczniej obdarzonym niemi, kobiety bowiem uśmiechają się wdzięcznie, mrużąc wielkie czarne oczy. Cywilizacja nie zdołała jeszcze wytworzyć tu pruderji.

W godzinę po opuszczeniu Corrientes, ujrzeliśmy zdaleka, po lewej ręce, ciemne puszcze dzikiego Chaco, po prawej zaś — nieskończoną wód płaszczyznę, podobną do morza. Jesteśmy u zbiegu rzek: Parany i Paragwaju.

Przepiękny widok tych wód niezmiernych, iskrzących się, jak ruchoma łuska srebrna, w jasnych promieniach słońca, wywabia na pokład cały tłum podróżnych „San Martina”.

Dążymy wprost na północ. Długa ława piaszczysta wrzyna się w tonie ostrym cyplem. Najpierw krzaki, a potem drzew gąszcze zwężają stopniowo widokokrąg. Barwa wody zmienia się wyraźnie: z mętno-żółtej, a następnie zielonkawej, przechodzi w prawie czarną.

Wpływamy na ciemne wody Paragwaju.

* Ładna dziewczyna! Ładna kobieta!

Rozdział II.

Rzeka Paragwaj. — Aligatory. — Cerro Lambaré. — Poma-
rańcze. — Asuncion. — Królestwo kobiet. — Siesta.

Choć Paragwaj jest tylko dopływem Parany, to jednak współzawodniczy z nią tak pod względem długości (przeszło 2.000 kilometrów), jak i znaczenia. Źródła jego znajdują się w Brazylii, na płaskowzgórzu wielkiego stanu Matto Grosso, wśród wzgórz Arayal Velho, u miejscowości As Sete Lagoas (Siedem Jezior), na zachód od miasteczka Diamantino. Spływając z płaskowzgórza na południe, rozlewa się w trzęsawiskach Xarayes, płynie wzdłuż granicy wschodniej Boliwji, przecina następnie wzdłuż całą Rzeczpospolitą Paragwajską i wreszcie wpada do Parany.

Ponieważ rzeka Arinos, tworząca w połączeniu z rzeką Juruena jeden z południowych dopływów Amazonki, rzekę Tapajoz, wypływa z tych samych wzgórz Arayal Velho, stanowiących podział wód pomiędzy dorzeczami Amazonki i Parany, można się więc spodziewać, że zczasem powstanie tą drogą komunikacja wodna pomiędzy Amazonką a Rio de la Plata.

Krajobraz coraz to piękniejszy. Nie monotonne to już, płaskie wybrzeża Parany, rzadko sięgające kilkunastu metrów ponad poziom wód, rozlanych szeroko.

Tutaj roślinność zwrotnikowa występuje w całej krasie. Ciemne masy zieleni sięgają powierzchni wody lub sterczą nieprzebytym gąszczem na wysokich urwiskach. Od czasu do czasu wyspy szmarag-

dowe przegładają się w ciemnem wód zwierciadle; gdzie niegdzie step, wysokimi trawami porosły, z gajami palm pindo (*Cocos australis*), przerywa gęstwinię i ciągnie się przez parę kilometrów, by niebawem przedzierzgnąć się znów w las dziewiczy.

Po południu mijamy port Las Palmas, następnie urwisko Curupaití, słynne w dziejach Paragwaju bitwą, stoczoną tu przez mało liczne wojsko paragwajskie z połączonemi siłami Brazylji, Argentyny i Urugwaju; miasteczko paragwajskie Humaitá ze sterczącemi niedaleko brzegu rzeki szczątkami świątyni, zbombardowanej przez Brazyljan w 1867 r.

Jeszcze przyglądałem się tym niemym świadkom waleczności maleńkiego narodu, gdy ogromna, krwawo-złota kula słońca skryła się w chmurach purpurowych i tonąc w nich coraz głębiej i głębiej, znikła wreszcie za lasami.

Ze zwykłą w tych strefach szybkością nastąpiła noc czarna, zszedłem więc do jasno oświetlonego salonu parowca, aby się zabrać do spisywania wrażeń podróжных. Niestety, zwabione światłem żarówek moskity tak zaczęły ciąć mi ręce, twarz i szyję, że co prędzej zebrałem swoje papiery i pośpieszyłem do palarni, gdzie liczne grono mężczyzn gawędziło z kapitanem parowca.

— Jutro — mówił kapitan właśnie, gdym przekraczał próg palarni — będziecie panowie mieli rozrywkę.

— Jaką? — spytano hurmem.

— Wpłynęliśmy na rzekę aligatorów. Gdy się rozwidni, ujrzycie ich mnóstwo, przygotujcie więc strzelby.

— A jeśli kto nie ma strzelby? — spytał jakiś dowcipniś.

— Ten może — odparł, śmiejąc się, marynarz — popukać z rewolweru, albo też spać, o ile spać mu dadzą strzały, bo od czasu, jak wędruję po tych wodach, nie pamiętam podróży bez próbowania przez podróżnych celności swych strzałów na obrzydliwych płazach w tem miejscu.

Oczywiście, wszczęła się zaraz na ten temat ożywiona rozmowa i ani się spostrzegłem, jak północ minęła. Pomimo to już o świcie byłem na nogach i z karabinem w ręce znalazłem się na pokładzie, bo jakże odmawiać sobie takiej gratki, skoro ma się żyłkę myśliwską, a widziało się dotychczas aligatory tylko w ogrodach zoologicznych.

Słońce tylko co wychyliło z poza widnokręgu rąbek swego złotego oka. Promienie jego nie zdołały jeszcze chuchnąć na świat żarem, orzeźwiający więc chłód poranku unosił się nad wodami. Ciemne nurty rzeki, szerokiej tu na jaki kilometr, toczyły się cicho pomiędzy wysokimi brzegami, gęstym lasem porośniętymi. Parowiec skręcał to ku prawemu, to ku lewemu brzegowi. Śledziłem uważnie piaski nadbrzeżne, wypatrując zapowiedzianych aligatorów. Niedługo szukałem. Na niewielkim występie gruntu, pod urwiskiem wysokim, ujrzałem długą, szarą masę, którą łatwo było można wziąć za pień drzewa, gdy wszakże parowiec zbliżył się ku niej, poznałem dokładnie łeb nieco zadarty, z otwartą paszczą, kadłub gruby na niskich łapach i szeroki, pręgowany ogon.

Pomimo szumu, sprawianego przez koła parowca,

potwór leżał spokojnie, snadź przyzwyczajony już do tego klekotu.

Ręka świerzbiała do strzału, ale byłem na pokładzie sam jeden, nie chciałem więc przestraszyć hukiem innych podróżnych, widocznie śpiących jeszcze.

Aligator (*Aligator, Caïman sclerops*), *yakaré* w języku Guarani, jest zwierzęciem pospolitem w Ameryce podzwrotnikowej. Sięga czasem czterech metrów długości, jest silny i odważny. Krajowcy różnią dwie odmiany: aligatora szarego o podbrzuszu żółtawem (*yakaré tinga*) i aligatora czarnego o spodniej części ciała różowej (*yakaré u*). Ten ostatni ma być większy i niebezpieczniejszy.

O ile aligator ma w wodzie ruchy szybkie i zwinne, o tyle na lądzie jest leniwy i niezgrabny. Na lądzie też nie napada na człowieka, ale raniony goni strzelca i jeżeli go dopadnie w pobliżu wody, to tnie straszliwie potężnymi szczękami, zaopatrzonemi w zęby mocne i pociąga w głębinę. W ogonie przytem posiada siłę taką, że uderzeniem może przewrócić dorosłego mężczyznę. Pożywienie jego stanowią przeważnie ryby, ale nie gardzi padliną i wogóle niczem, co mu pod zęby popadnie.

Przebywa nietylko w rzekach, lecz także stawach zarybionych, gdzie woda jest ciepła, a gdy pod wpływem upałów i suszy miesięcy bezdeszczowych woda w jeziorze lub stawie wyschnie, wówczas wędruje do innego jeziora, stawu lub najbliższej rzeki, wiedziony tam szczególnym instynktem. Wie przytem, że bydło rogate szkodzić mu nie może, to też nieraz widywałem w dalszej podróży aligatory, wygrzewające się,

jak zwykle, z paszczą otwartą i łbem nieco zadartym, na łąkach nadbrzeżnych, opodał pasących się stad, drobne zaś ptactwo uwijało się dokoła leżących płazów, wydziobując im, zupełnie jak krokodylom nilowym, z twardej skóry, a nawet z paszcz groźnie otwartych, pasorzyty i mięczaki tam uczepione.

Niebawem zaczęli schodzić się na pokład nareszcie wyspani moi towarzysze podróży z dubeltówkami i karabinami w rękach.

Liczba aligatorów tymczasem rosła z każdą chwilą. Czasem po pięć, sześć i dziesięć, dużych i małych, leżało na kamieniach, piaskach lub naniesionych przez prąd rzeczny pniach drzewnych.

Jeden z podróżnych podniósł do oka strzelbę i wypalił z obu luf w stronę mijanej właśnie, w odległości kilkudziesięciu kroków, grupy płazów. Było to hasłem dla innych. Rozpoczęła się strzelanina. Znudzeni podróżą strzelcy rozochocili się na dobre i strzelali nieraz na znaczną odległość, ot, tak sobie, dla rozruszania się i zabawienia hukiem, powtarzanym daleko, daleko przez echo lasów. Aligatory przypatrywały się ze spokojem filozoficznym tej zabawie. Kpiły z nas poprostu!

Ale raz podpłynęliśmy, na odległość jakich pięćdziesięciu kroków, do brzegu.

— *Qué bicho tan grande!** — zawołał jeden ze strzelców.

Rzeczywiście ogromny aligator stąpał z widoczną dla nas pogardą po mulastym brzegu rzeki.

Odpokutował jednak to zbyt lekkieważenie nemrodów „San Martina”. Wszystkie karabiny i dubel-

* Co za wielka bestja!

tówki skierowały się ku niemu. Huknęła potężna salwa. Ogromny jaszczur stanął prawie dęba, poczem opadł ciężko na łapy i trzepnąwszy jeszcze ogonem, legł bez ruchu.

— No, przynajmniej jednym — zawołał kapitan — możecie pochwalić się panowie!

Mijamy kolejno: na lewo Bermejo, mały posterunek przy ujściu rzeki tej samej nazwy, poczem na prawo Villa Pilar i Villa Franca — miejsciny paragwajskie; dalej, na lewo, Villa Formosa, główne miasto ostatniej na północ prowincji argentyńskiej; wreszcie stajemy naprzeciwko wioski paragwajskiej Angostura, mamy bowiem przesiąść się na mniejszy, oczekujący już na nas, parowiec.

Za lasami i zakrętami rzeki widnieje wdali, samotnie sterczące wśród równiny leśnej, wzgórze. To — Cerro Lambaré, straż przednia stolicy Paragwaju.

Po dwóch godzinach jazdy już mniejszym parowcem, przystajemy u miasteczka Villeta, głównego portu wywozu pomarańcz. Miasteczko niknie wśród gajów pomarańczowych zupełnie.

Drzewo pomarańczowe wprowadzili w te strony oo. jezuici, którzy przybywszy tu w 1620 r., założyli na obszarach Paragwaju i dzisiejszego terytorjum argentyńskiego słynne swe państwo misyjne, liczące pod koniec XVII i na początku XVIII w. 6.000 mil kw. przestrzeni z 33-ema miastami, którego jedynymi dziś śladami są nazwy pewnych miejscowości, porośłe już odwiecznym lasem zwaliska kościołów i te oto rozrośnięte bajecznie gaje pomarańczowe, dziś niemałe źródło dochodu, skoro się zważy, że w 1908 r.

wywieziono z Paragwaju 10,700.000 tuzinów pomarańcz!

Kilka wielkich barkasów, przypominających nasze berlinki, stało u przystani miasteczka, ładując pomarańcze. Szeregi wysmukłych kobiet w długich, białych koszulach i z koszami pełnymi owoców na głowach, dążyły po kładkach, łączących barkasy z brzegiem, i wysypywały pomarańcze, jak ziemniaki, do wnętrza statków.

Nad wieczorem mijamy Cerro Lambaré. Prawie naprzeciwko wlewa do Paragwaju czarne i słone swe wody rzeka Pilcomayo, wijąca się leniwie, jak wąż, wśród równin Gran Chaco. Dotychczas jeszcze niezbadana w całości, gdyż jest niespławna i rozlewa się często wśród moczarów niedostępnych nawet dla małych łodzi, wielka ta rzeka tworzy od 1870 r. granicę pomiędzy Argentyną a Paragwajem zachodnim.

Już noc zupełna zapadła, gdy, skręciwszy za wielkie urwisko bazaltowe, Tacumbú, spostrzegamy w głębi obszernej zatoki liczne światła. To kres naszej ósmiodniowej podróży — miasto Asuncion del Paraguay.

Szybko załatwiamy formalności celne, wsiadamy do łódki i po kilku minutach stajemy u przystani.

Z powodu późnej już godziny, ulice zrzadka oświetlone latarniami, są puste i ciche. Gdzie niegdzie tylko z otwartych drzwi kawiarni padają jasne smugi i dolatuje gwar rozmów. Ciszę uliczną przerywa czasem odgłos dzwonek lub piszczałek tramwajowych.

W hotelu Hispano-Americano, którego oszklone zgóry, kwadratowe podwórze otacza dwupiętrowy rząd kolumn, tworząc, rzekłbyś, klasztorne krużganki,

wypijam szklanę obrzydliwej herbaty i układam się do snu w jednym z najstarszych miast Ameryki.

Grudzień, to rozkwit lata południowo-amerykańskiego, wstaję więc bardzo wcześnie, aby przed najdłuższym upałem rozejrzeć się po tej stolicy egzotycznego państwa.

Ulice, w nocy tak puste i ciche, są teraz, z nastaniem poranku, ludne i gwarne. Konno, na mułach i osiołkach suną po jezdni sznury mężczyzn, kobiet i dzieci. Na chodnikach też pełno ludu. Wszystko to bose, nawet przedstawiciele władzy. Kobiety naogół nieładne. Każda dźwiga na głowie wszystkie swe sprawunki, a w kącie ust trzyma cygaro. Czasem przesunie się wśród tłumu żebraczka indyjska o miedzianej cerze, napoły naga, z rozpuszczonym włosiem, opadającym na ramiona. Mężczyźni w szerokich szarawarach płóciennych i nieodzownych ponchach, zastępujących płaszczy, kołdrę i parasol, są daleko mniej liczni, niż kobiety, co odrazu rzuca się w oczy.

Krocę główną ulicą miasta. Nie wiem dlaczego nazywa się ona Las Palmas, skoro niema na niej ani jednej palmy, i dlaczego ma być główną, jeżeli nie posiada tego, czem zwykle odznaczają się główne ulice miast innych, a zwłaszcza stołecznych, mianowicie pięknych gmachów i sklepów?

Lecz nad tem zastanawiać się nie będę, stwierdzam natomiast, że najciekawszym bezwątpienia zakątkiem stolicy Paragwaju jest targ. Ogromny ten czworobok, otoczony budynkami o krążgankach zewnętrznych i wewnętrznych, pełen sklepów i straganów, to już istne królestwo kobiet. Od małego kra-

miku z garnkami lub paczkami cygar domowej roboty do wielkich jatek i piekarń — wszystko spoczywa w ich rękach. Śniade, brązowe, oliwkowe i prawie czarne, w białych chustach, zwanych mantami, na głowę i ramiona zarzuconych, a niejednokrotnie tylko w długich, indyjskich *tipojá* (koszula bez rękawów, ze szlaczkiem na piersiach), uwijają się wszędzie, krzyczą, targują, łajają, nie wypuszczając przy tem wszystkim z ust cygara, często do połowy żutego.

Mężczyźni są tutaj tolerowanym jedynie dodatkiem i to bynajmniej nie wskutek trafu. Przedewszystkiem bowiem w żadnej z krain południowoamerykańskich rasa hiszpańska nie złała się tak z tubylecą, jak w Paragwaju, gdyż pierwsi *conquistadores* hiszpańscy zastali tu plemiona łagodne i uległe, nie posiadające przytem własnej, wysoko rozwiniętej cywilizacji i bogactw takich, jak w Peru, któreby wywoływały dziką chciwość w sercach zdobywców, to też, gdy osady, zakładane gdzie indziej, długo nie mogły się ustalić, wciąż narażone na krwawe walki z tubylcami, Asuncion było już miasteczkiem i napływowa jego ludność krzyżowała się chętnie z czerwonoskórymi. Wywiązała się rasa Metysów, a ponieważ Indjanie zwalają na barki kobiet nietylko pielęgnowanie dziatwy, ale także wszelkie roboty domowe i polne, słowem wszystko, co się nie tyczy polowania i walki w obronie siedlisk, wessany przeto z mlekiem matek, Indjanek, ten porządek społeczny przeszedł z pokolenia na pokolenie i zaznacza się dotychczas wybitnie.

Dalszym czynnikiem, który zsunął tu mężczyznę

na plan drugi, była wspomniana powyżej wojna pięcioletnia. Wojna ta, prowadzona z niesłychaną, za prawdę, zaciętością, wytępiła mężczyzn do tego stopnia, że w 1870 r. przypadało w Paragwaju wogóle na jednego mężczyznę czternaście, a w niektórych okolicach nawet dwadzieścia kobiet. Stosunek ten zmienił się już wprawdzie znacznie, w każdym jednak razie przewaga kobiet jest jeszcze bardzo widoczna.

Wśród gmachów zwraca uwagę już zdala, od strony rzeki, wzniesiony na wysokim brzegu, w pierwszej połowie dziewiętnastego wieku, pałac dyktatora Lopeza, mieszczący obecnie biura rządowe.

Wpobliżu położona katedra nie odznacza się niczem szczególnem pod względem stylu, posiada jednak piękny ołtarz główny z kutych blach srebrnych i ciekawe freski na sklepieniu.

Powracam do hotelu.

Godzina siesty nadeszła. Gdzie niegdzie tylko mignie w białą mantę owinięta postać kobieca, nagi dzieciak wybiegnie z domu i popatrzy szeroko otwartymi, czarnymi jak węgiel oczyma na przechodnia, lub pies, szukający chłodnego kącika, kroczy leniwie z wywieszonym językiem.

Miasto zasypia.

Sklepy i biura pozamykane, tramwaje nawet przestały krążyć. Cisza wszędzie taka, że słyszę wyraźnie brzęczenie muchy gdzieś pod pułapem i chrapanie sąsiada z trzeciego pokoju. Próbuję czytać lub pisać — niepodobna. Gorąco i cisza tak do snu usposabiają, tak zwierają powieki, monotonne chrapanie

działa tak zaraźliwie, że nie mogę przewyciężyć obezwładniającej organizm śpiączki.

Wkońcu więc odchyłam zasłonę muślinową, chroniącą łóżko od napaści moskitów, i w adamowym niemal stroju padam na posłanie, a na dworze prostopadłe promienie słońca leją żar na szare bruki, białe mury i na popielatą od pyłu zielen nieruchomych liści.

Rozdział III.

Wgóre Paragwaju. — Na parowcu. — Kogut bojowy. — Indjanie Toba. — Sęp Urubu. — Herbata paragwajska. — Pułk. Chodasiewicz. — Ogniska Indjan. — Żegluga nocą.

Na wyjeźdźnym z Buenos Aires otrzymałem list polecający do inżyniera S., mieszkającego w Paragwaju od lat już kilkunastu. Nie omieszkałem z niego skorzystać.

Przy kieliszku doskonałego rumu paragwajskiego rozwiązują się szybko języki.

Rozmowa płynie ożywiona o wspólnych znajomych w Buenos Aires i w Paryżu, skąd inż. S. jest rodem, o podróżach i o Paragwaju, gdy nagle nowy mój przyjaciel, gdyż stał się nim istotnie, odzywa się, uderzając mnie dłonią po kolanie:

— Wie pan co? Jutro wyruszam na moim parowcu wgóre rzeki, ku granicom Brazylii. Jedźmy razem. Tak będę rad pańskiemu towarzystwu na tem bezludziu. Pogadamy o wszystkim. Uprzedzam tylko, że wygod nie będzie, bo parowiec mały.

Jakże odmówić zaproszeniu tak uprzejmemu i przytem tak pojętnemu dla mnie, globtrottera za-

wołanego, to też, choć głównym celem podróży mojej było zwiedzenie świeżo założonej przez rząd paragwajski kolonji rolniczej w zupełnie innej okolicy kraju, przyjąłem propozycję bez wahania i nazajutrz o świcie „Manuel Melina”, niewielki, zgrabny parowiec śrubowy, holujący u boków dwie krypy, naładowane towarami, miał już na gościnnym swym pokładzie mnie, mój karabin i niewielką walizkę, poczem gwizdnąwszy przeraźliwie, wzbałwanił śrubą gładkie jak zwierciadło wody zatoki i pomknął przeciwko prądowi.

Oprócz właściciela parowca i mnie, jeszcze młody Anglik, zbieracz jaj ptasich, który aż tu się wybrał, aby swe zbiory dopełniać, tudzież Paragwajczyk, zarządca estancji * na granicy brazylijskiej, zajęli miejsca w przedniej kajucie parowca. Na tylnym pokładzie rozlokowała się rodzina gauchów .

Mąż, brunatny Paragwajczyk, o czarnych, łagodnych oczach, kruczych, opadających mu na ramiona włosach i kędzierzawej brodzie, palił obojętnie papierosa, gdy małżonka jego, drobna, o cerze oliwkowej kobiątka, tuliła do piersi tłuściutką dziecinę i porządkowała rzuconą bezładnie na pokład chudobę. Niewielkie, coprawda, było to gospodarstwo.

Parę węzełków ze zgrzebnego płótna, okopcony imbryk cynowy, siodło z kilku czaprakami ze skór owczych, owiązane trzęzlą, stary karabin pistonowy, dwa małe kociaki i — kogut bojowy.

O wejrzeniu śmiałem, szyi długiej, ciele wysmukłym, z obciętym grzebieniem, tudzież podcię-

* Folwark, dobra ziemskie.

temi skrzydłami i ogonem, potężnymi ostrogami naturalnymi u nóg żółtych, miał minę niezwykle buńczuczną i wyzywającą.

Gaucha spostrzegł, że przypatruję się z zajęciem temu stworzeniu.

Ożywiły mu się oczy, dotychczas jakby senne, powstał ze zwoju lin, na którym siedział i pobrzękując wielkimi ostrogami koleczastymi, przymocowanymi do bosych stóp zapomocą rzemyków, podszedł do mnie.

— *Es un gallo muy bravo!* * — rzekł z dumą, gładząc grzbiet ptaka, uwiązanego sznurkiem za nogę do pustej skrzyni. Kogut przechylił łeppek i spojrzał w twarz pana, nie ruszając się z miejsca.

— Nie mało — mówił gaucha dalej — już przeciwników trupem położył. Widzi pan tę szramę na piersiach? To z ostatniej walki. Trafił na prawie równego sobie, *chicito!* ** Ale go położył! Najlepszym winem białym okładałem ranę przez dni dziesięć. Wyszedł cało, a myślałem, że nie przeżyje.

I opowiadał mi długo jeszcze, rozochocony, na temat owego koguta i jemu podobnych. Dowiedziałem się, że ten jego siłacz kosztuje 50 pesos, wcale nie drogo, bo kupiony był zamłodu, gdy jeszcze ani razu nie stawał w szrankach, a to ryzyko, boć mógłby był okazać się tchórzem, choć z zacnego rodu pochodzi; że tak on, jak i jemu podobne, posiadają długie rodowody, wprawdzie tylko tradycją ustną przekazane, niemniej wśród tych dzieci stepowych tak cenione,

* Jest to kogut bardzo wojowniczy!

** Maleńki — wyrażenie pieszczotliwe.

jak pedigree *full bloodów** wśród lordów mglistego Albjonu.

A choć wyścigi konne są sportem bardzo cenionym także przez gauchów argentyńskich i paragwajskich, to jednak nie każdego stać na utrzymanie dobrego konia. Najlepszemu zaś nawet kogutowi bojowemu starczy garść dobrego ziarna dziennie.

Po południu zatrzymaliśmy się u stóp wysokiego, porośniętego lasem urwiska, by zaopatrzyć się w drzewo do opalania maszyny. Z powodu braku węgla, obfitości zaś lasów, drzewo jest jedynym w tych stronach materiałem opałowym maszyn parowych.

Tuż nad wodą stał, oczekując na nas, stary murzyn w futrzanej czapce i białym kitlu.

— *Como le va, Benito!*** — zawołał pan S.

— *Muy bien.**** — odparł stary. — Przygotowałem zapas drzewa dla was.

Istotnie, wysokie sęgi drzewa widniały na skraju puszczy.

W tej chwili wyłoniło się z lasu kilka ciemnych postaci.

Antonio, Paragwajczyk zajmujący stanowisko szypra na naszym parowcu, wskazał na przybyszów.

— Indjanie Toba, przyszli na zarobek.

Z lasu wyłaniało się coraz więcej Indjan. Wreszcie cała ich gromada podeszła wskazując to na sęgi, to na parowiec.

Tobów było ze trzydziestu. Wśród nich kilka kobiet z dziećmi. Nie wysocy, ale krępi, o czekoladowej

* Rodowody koni krwi pełnej.

** Jak się masz, Benito!

*** Bardzo dobrze.

barwie skóry, długich, gęstych włosach, kształtem twarzy przypominali bardzo typ mongolski. Niektórzy mieli długie łuki i strzały w rękach lub przewieszane przez plecy torby z włókien pnączy leśnych. Kobiety brzydkie, potatuowane na czole i policzkach, dźwigały na plecach pociechy swe o dużych, wypukłych brzuchach i cienkich, jak laski, nogach.

Indjanie Toba zamieszkują głębie mało znanych dotychczas puszczy i stepów Gran Chaco, na olbrzymiej przestrzeni, pomiędzy rzekami Bermejo i Paragwajem. Dzicy, podejrzliwi, mściwi i bitni, mało przytem dostępni wpływowi cywilizacji, przez długi czas byli prawdziwym utrapieniem białych, zaglądających w ich strony. Ale poskromiła ich, jak zresztą i inne wojownicze szczepy indyjskie, broń szybkostrzelna. Cofnęli się więc przeważnie do niedostępnych swoich puszczy, gdzie niedawno metys, José Pestizo, stawszy się ich wodzem, zebrał oddzielne *tolderie*,* zorganizował i trzymał w karbach posłuszeństwa. Część zaś Tobów, jak ci, którzy właśnie podeszli do nas, włości się wzdłuż rzek, oraz dokoła osad białych, chciwa na zarobek pod postacią wódki i żywności. Nie omijają jednak sposobności rabunku, a gdzie się zdarzy i morderstwa, bo nienawiść do białych tkwi im we krwi.

To też Benito, spoglądając na przybyłych, odezwał się niechętnie:

— Znów przyszły te djabły, trzeba się mieć na baczności.

Niemniej inżynier S. skinął na włóczęgów i wnet

* Toldo — namiot, szałas, stąd *tolderia* — zbiór szałasów, obóz.

młodsze pokolenie owych „djabłów”, jak ich nazwał murzyn, ustawivszy się w długi szereg, podawało sobie z rąk do rąk polana i składało je na krypę przyczepioną do parowca, gdy starcy i kobiety, kucnąwszy kołem i rozcierając na dłoniach suche liście tytoniowe, zapalali króciutkie fajeczki drewniane, szwar-gocąc zcicha.

Ponieważ mieliśmy odplłynąć dopiero za kilka godzin, ruszyłem więc z karabinem pod pachą w głąb lądu.

Brodząc po pas w bujnej, ostrej trawie, szedłem zaledwie widoczną ścieżką, brzegiem dziewiczego lasu. Niebawem ucichły głosy ludzkie. Przede mną rozpościerała się pampa, step zielony, obramowany ciemną wstęgą lasów. Wśród stepu, jak buńczuki powtykane beładnie w ziemię, sterczały palmy pindo. Cisza panowała dokoła. Ciężki upał dnia podzwrotnikowego uspił nawet liście drzew. Po ciemnym lazurze niebios płynęły, zataczając wielkie kręgi, czarne sylwetki dużych sępów. Czasem, pomiędzy mną a słońcem stanąwszy, cień mi na twarz rzucały. Jeden z nich, jakby zawieszony w przestworzu, rzucił się nagle wdół pionowo i skręciwszy nagle, poszybował w mą stronę, rozpostarłszy nieruchomo skrzydła.

Zmierzyłem.

Strzał huknął, odbił się łoskotem o ściany lasów, a sęp, koziołkując, spadł w gęstą trawę. Wśród drzew rozległy się głośne krzyki. To stado zielonych papug, wystraszone strzałem, śpieszyło, krzycząc i trzepocąc skrzydłami, do dalszego lasu.

Po niedługim szukaniu, znalazłem zabitego sępa, lecz przypatrzivwszy się zdobyczy, pożałowałem

strzału, gdyż był to urubu (*Catharista atrata*), czarny sęp, zwany niewłaściwie w Brazylii i Paragwaju krukiem (*corvo*). Ptak ten spełnia tu tę samą rolę, co marabut w Egipcie: oczyszcza miasta, wsie i osady z padliny i wszelkich odpadków organicznych, rozkładających się nader szybko w tym gorącym klimacie. W Brazylii cieszy się nawet opieką prawa. Niema tam w mniejszych miastach i osadach domu, na którym nie siedziałoby po kilka lub kilkanaście tych ptaków. Myśliwi wszakże gardzą nimi, gdyż pióra ich nie przedstawiają żadnej wartości, a mięso wydaje woń wstrętą.

Upał stawał się coraz dokuczliwszy. Karabin ciężył mi kamieniem. Z pod nóg mych uciekały szybko szmaragdowe jaszczurki, a raz długi, szary wąż, rzuciwszy się w bok łukiem, ustąpił mi z drogi — oto cała zwierzyna. Papugi nawet pokryły się w gąszczu tak, że o strzale choćby do tych ptaków nie było mowy. Zmęczony więc i zniechęcony zawróciłem zpowrotem do rzeki.

Wielka, złoto-purpurowa tarcza słońca staczała się już za lasy, gdym stanął u parowca. Na pniu zwalonego przez prąd rzeczny drzewa pan S., murzyn Benito i młody Anglik raczyli się herbatą paragwajską. Przyłączyłem się do ich towarzystwa. Gorzki, gorący napój orzeźwił mnie znakomicie.

Herbatę paragwajską stanowi napar liści prażonych i startych, bądź to ręcznie, bądź w młynach, ostrokrzewu paragwajskiego (*Ilex paraguayensis*), rosnącego bardzo obficie w lasach Paragwaju i Brazylii południowej. Od niepamiętnych czasów roślina ta znana była przez krajowców, ma też nazwę wła-

szą: *acu* albo *coa* w języku Guarani. Hiszpanie nazwali napój z niej sporządzony *yerba mate* z powodu tykwy: *yerba* — ziele, *mate* — tykwa, z której jest wciągany do ust przez długą, zwykle srebrną, rurkę, zakończoną u dołu kulką (*bombilla*), podziurawioną, jak sitko.

Oo. jezuici, przybywszy do Paragwaju i założywszy tu swe państwo misyjne, usiłowali początkowo odzwyczaić tubylców od namiętnego picia yerby, a nie dopiawszy tego, sami eksploatowali *yerbale*, jak Hiszpanie nazwali lasy, obfitujące w ostrokrzew paragwajski.

Przez czas długi utrzymywało się przekonanie, że rośliny tej nie można uprawiać, jak herbatę lub kawę, gdyż wymaga sąsiedztwa innych mieszkańców lasu i może się tylko wśród nich rozwijać. Mniemanie to jednak okazało się błędne. Dzisiaj istnieją w Misjonach i w Brazylii plantacje yerby mate, albo herwy, jak ją nazywają z portugalska koloniści nasi, rozwijające się pomyślnie. Napar jednak z ostrokrzewu uprawnego ma smak delikatniejszy, mniej cierpki, niż ostrokrzewu dzikiego, a przytem yerba uprawna suszona jest w suszarniach, w których nie dosięga jej dym, to też nie posiada tego smaku ostrego, co suszona w dymie. Wielu więc starych konsumentów yerby mate przekłada napój z yerby dzikiej, suszonej sposobem pierwotnym, nad napój łagodniejszy z yerby plantowanej.

Pułkownik argentyńskiego sztabu jeneralnego, Chodasiewicz, jak również emigranci nasi, którzy zawędrowali, po powstaniu styczniowym, do Argentyny i wzięci tam przymusowo do wojska, odbyli

kampanję paragwajską, opowiadali niejednokrotnie piszącemu te słowa, że po trudach i znojach bitew lub po marszach uciążliwych przez puszcze, kilka tykw yerby przywracało żołnierzom rześkość i siły. To też pierwszą ich czynnością po przybyciu na miejsce postoju, było rozpalenie jak najprędzej ogniska, przy którym mogłaby zagotować się woda na zbawczy napój.

Nie dziw więc, że takie prowincje brazylijskie, jak Matto-Grosso, Paraná, Santa Catharina, Rio Grande do Sul, argentyńskie terytorjum *Misiones* i wreszcie Paragwaj prowadzą yerbą obszerny handel, współzawodnicząc co do sposobu jej przyrządzania.

Zauważyłem przytem, że smaczniejsza jest o wiele, gdy się ją wciąga z tykwy przez rurkę, niż przyrządzana tak, jak w Brazylii, gdzie podawana jest pod nazwą *cha*, (czytaj: cza, herbata), naparzana w imbrykach.

*

Skoro wymieniłem powyżej nazwisko Chodasiewicza, niech mi wolno będzie odbiec na chwilę od przedmiotu, aby wspomnieć choć krótko o tym człowieku niepowszednim.

Robert Chodasiewicz, syn ziemian polskich na Litwie, porwany dzieckiem kilkoletniem z domu rodzicielskiego przez siepaczów carskich, po powstaniu listopadowem, jak tylu innych chłopców na Litwie, oddany był do korpusu kadetów, a następnie do szkoły inżynierji wojskowej w Petersburgu, gdy zaś wybuchła wojna krymska dostał się do sztabu jene-

rała, wówczas jeszcze pułkownika, Todlebena, organizującego obronę Sebastopola.

Otwierała się więc piękna przyszłość wojskowa przed młodym oficerem. Ale w Chodasiewiczu nie wygasło serce polskie. Nienawidzi tych, którzy porwali go z łona rodzicielskiego i marzy tylko o tem, jak ich opuścić.

Pewnego dnia, wysłany na zbadanie terenu przed pozycjami angielskimi, wysuwa się, pozostawiwszy za sobą eskortę, tak daleko, że wpada w ręce Anglików. Tego tylko pragnął. Stanąwszy przed angielskimi władzami wojskowymi, opowiada swe *curriculum vitae* i wobec tego zaliczony jest do *Intelligence departament* (Służba wywiadowcza, angielskiej armji oblężniczej. Tu rozwija działalność energiczną i skuteczną, gdyż zna już dokładnie tajniki twierdzy sebastopolskiej. Wreszcie, za pośrednictwem jednego z wziętych do niewoli żołnierzy rosyjskich, zachęconego obietnicą sowitej nagrody, powiodło mu się wysadzić w powietrze główny arsenał Sebastopola, co przyspieszyło upadek tej twierdzy.

Po wojnie krymskiej Chodasiewicz spędza kilka lat we Francji i w Anglii, poczem udaje się do Stanów Zjednoczonych, a gdy wybuchła tam w 1861 r. wojna t. zw. secesyjna, zaciąga się do armji stanów północnych i służy w niej do końca wojny (1865 r.), odznaczony się, między innymi, przy oblężeniu i zdobyciu Vicksburga.

W tym samym czasie wybucha, tym razem w Ameryce Południowej, nowa wojna. Argentyna, Brazylja i Urugwaj walczą z Paragwajem, a poseł argentyński w Washingtonie, późniejszy prezydent Argen

tyny, Sarmiento, werbuje byłych wojskowych amerykańskich do armji argentyńskiej.

Na wiadomość o tem, Chodasiewicz, zanadto pokochawszy zawód wojskowy, aby korzystać z praw weterana wojny czteroletniej i otrzymać posadę rządową w Stanach Zjednoczonych, zgłasza się do Sarmienta i przyjęty do wojska argentyńskiego, odbywa w jego szeregach, w charakterze oficera sztabowego, całą kampanję paragwajską, poczem już do końca życia nie opuszcza Argentyny.

Gdym go poznał, był już starcem, ale krzepki i żywy, wciąż jeszcze piastował stanowisko pułkownika argentyńskiego sztabu jeneralnego.

Ileż to typów tak niepowszednich i wzruszających wydała Polska porozbiorowa!

I czasami tylko, przypadkowo, w wędrówkach po świecie, dowiadujemy się o nich, jak i o tym pustelniku polskim, o którym wspominam w rozdziale następnym.

*

Siedzieliśmy tedy na pniu obalonego drzewa, ciągnąc z przyjemnością gorzki napój przez srebrne rurki. Stary murzyn rozprawiał żywo, mlaskając szerokiemi, grubemi wargami i gestykulując ogromnemi, żylastemi rękoma. Zwróciły mą uwagę dwa wielkie kły zwierzęce, nanizane na sznurek i zwieszające mu się na pierś hebanową. Spytałem o ich znaczenie.

— Są to — odparł, uśmiechając się tajemniczo i potrząsając ogromną łapą — kły tygrysa (jaguara), chroniące od złego powietrza i złego spojrzenia.

Zastanowiło mnie to zestawienie złego powietrza

ze złem spojrzeniem. O, gdyby istotnie kły tygrysie chroniły przed złymi ludźmi, to zabrakłoby już chyba tygrysów na świecie!

Pozegnaliśmy się wreszcie z Benitem. Tobowie otrzymali za naładowanie drzewa worek sucharów i po kieliszku rumu, poczem znikli, głośno rozprawiając, widocznie zadowoleni, w głębinach lasu, a „Manuel Melina” odbił od brzegu.

Po dniu upalnym nastąpiła noc chłodnawa. Rozkoszowaliśmy się orzeźwiającym prądem powietrza, wywołanym przez szybki ruch statku. Nad nami niebiosa tak usiane gwiazdami, że wydawały się rzeszotem mlecznym, przesiewającym pył złoty, pod nami ciemne, słabo połyskujące odblaskiem gwiazd wody rzeki, po obu zaś stronach, majaczące wdali czarne linje lasów.

Płynęliśmy środkiem nurtu, cisza zalegała głęboka.

Wtem, na zachodzie, krwawy blask okrył szmat nieba. Daleko za nim buchnął drugi, trzeci — kilka łun zajaśniało nad tajemniczem Gran Chaco.

Antonio, szyper, wskazał na nie.

— Obozowiska Indjan — szepnął przez zęby, jakby w obawie zakłócenia ciszy. — Dla odpędzenia zwierza i moskitów palą co noc te ogniska. Dużo ich tam być musi, skoro ogniska tak liczne.

I w tej ciszy wielkiej, co zawisała tak solennie nad ciemnymi wodami Paragwaju, migotały te plamy krwawe, jak płachty upiorne. I zdawało mi się, że widzę na ich tle purpurowem czarne cienie, uzbrojonych w łuki i dzidy wojowników, wpatrzonych wzrokiem nienawistnym w maleńki, wlokący za sobą pió-

ropusz z iskier i dyszący niecierpliwie stateczek nie-nawistnych białych intruzów; że widzę zgarbione sylwetki megier indyjskich, podsycających ogniska.

Ilekroć zaś zwróciłem oczy na czarną toń rzeki, byłem pewny, iż lada chwila usłyszę cichy plusk wiosła, dostrzegę łodzie pełne Tobów, a ciszę nocną rozdrze dziki okrzyk wojenny napastników.

Nie mogąc wytrzymać w powietrzu dusznem kajuty, rozłożyłem pościel na pokładzie i zasnąłem wśród tych majaczeń, gdy niestrudzony „Manuel Melina”, dygocąc tętnem tłoków, wciąż pruł wody senne, leżący zaś brzuchem na dziobie parowca pilot t. zw. *practico*, badał pilnie okiem wprawnym słaby odbłask niebios na ciemnej toni i rzucał od czasu do czasu sternikowi zwięzłe rozkazy w języku Guarani, wskazując drogę wśród mielizn.

Rozdział IV.

Ptaactwo nadrzeczne. — Kapibara. — Carpincheros. — Pustelnik polski. — U dziwaka. — Modlitwa Pańska.

O świcie zatrzymaliśmy się przy osadzie Presidente Hayes, nazwanej tak na cześć prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, który rozstrzygnął na korzyść Paragwaju spór z Argentyną o tę część Chaco. Następnie mijamy ujścia rzek niespławnych: Verde, Capipobo, Tapiracuay, Quarepoty, wreszcie, nad wieczorem, Yeteli i Aragua é Guazu, wpadających do Paragwaju wprost naprzeciwko siebie.

Rzeka, to rozszerza się i spokojnie migoce, jak

stal w słońcu, podobna do jeziora, to zwęża się, mąci i zbałwaniona sunie bystro wśród wysokich urwisk.

Z gałęzi drzew, zwalonych przez burze i powodzie do rzeki, zrywają się co chwila rybitwy i kormorany. Czarne nurki nikną przed parowcem pod wodą, by wypłynąć o kilkadziesiąt kroków dalej: na łąkach i piaskach nadbrzeżnych spacerują poważnie czaple, bociany *tuyuyu* (*Ciconia macuari*) lub sępy czarne urubu, aligatory wygrzewają ociężałe cielska na słońcu, a w cienistych wądołach urwisk niezgrabne kapibary ogryzają trawy i liście.

Po kilku pudłach do nurków i kormoranów, upolowałem wreszcie prześliczną, rzadką już w tych stronach, czaplę białą (*Ardea egretta*), gorliwie tę pioną dla pięknych piór na czubie, tudzież kapibarę. Dwóch chłopców, wysłanych na brzeg, z trudem zdołało ulokować tę drugą moją zdobycz w łodzi. Mięso, jako niesmaczne, wyrzucono do rzeki na pastwę aligatorom, skórę zaś rozpięto dla wysuszenia na poręczy parowca.

Kapibara (*Hydrochoreus capybara*) jest bezwątpienia największym przedstawicielem gryzoniów. Hiszpanie nazwali ją *carpincho*, Portugalczycy zaś *capivari*. O szerści rudej, niezgrabna w ruchach, posiada ogromny łeb, przypominający bardzo łeb świnki morskiej, a zbyt wielki w stosunku do tułowia, osadzonego na nogach mocnych, zaopatrzonych każda w trzy palce o szerokich, grubych pazurach. Kapibara przebywa chętnie w wodzie, na moczarach lub w cienistych miejscach nad brzegami rzek. Żywiąc się pokarmem roślinnym, jest zwierzęciem zgoła

nieszkodliwym, mieszkańcy jednak tutejsi polują na nią dla skóry mocnej, dającej się dobrze wyprawiać.

Od czasu do czasu spostrzegamy zdala, na brzegach rzeki odosobnione wśród puszczy chaty strzelców leśnych, zwanych *carpincheros*. Ludzie ci mieszkają całymi latami w lasach dziewiczych, trudniąc się wyłącznie polowaniem oraz zbieraniem yerby.

Siedzieliśmy na składanych fotelach płóciennych, przypatrując się w milczeniu mijanym krajobrazom, gdy nagle, na widok chaty takiej, przy której na żerdziach, wbitych w ziemię niewielkiej polany, widniały porozpinane skóry kilku jeleni, pan S. zwrócił się do mnie

— *A propos!* — zawołał. — Wie pan, jeden z tych *carpincheros*, albo jakby powiedziano w Ameryce Północnej, traperów, jest pańskim rodakiem.

Czy być może? Zna go pan? — spytałem zdumiony.

— Znam, bo zdarza się raz na rok, że rusza na mym parowcu do stolicy, by sprzedać yerbę uzbieraną i skóry.

— Daleko mieszka?

— Jutro tam będziemy. Jeżeli mogę tem sprawić panu przyjemność, to wstąpimy do niego.

Przyjąłem skwapliwie i z wdzięcznością uprzejmą propozycję inżyniera i oczekiwałem niecierpliwie chwili poznania pustelnika, rodaka, co się zawie-ruszył aż tu, ugrzązł w tym kącie zapadłym globu ziemskiego.

Nazajutrz, ku wieczorowi, parowiec zatrzymał się u wysokiego urwiska. Nad nami sterczał las, za-

rośla zbiegały po stromem zboczu wzgórza niemal do samej wody.

Za zbliżeniem się naszym, kilka aligatorów, wygrzewających cielska na słońcu tuż pod urwiskiem, potoczyło się niezgrabnie ku rzece i znikło w jej głębinach.

Pierwszy wyskoczyłem na ląd.

Wśród odwiecznego lasu, o drzewach wyniosłych, splełanych pnączami, jak linami okrętowemi, podszytego gąszczem paproci, trzcini i traw ostrych — wiała się w głąb lądu ścieżka.

Puściliśmy się nią: pan S., ja i szyper Paragwajczyk.

Las rzedniał stopniowo. Po kilkunastu minutach marszu, weszliśmy na obszerną polanę. O kilkadziesiąt kroków widniały zabudowania.

— Tam mieszka pański rodak — odezwał się pan S., wskazując głową osiedle.

Minęliśmy półko szerokolistnych krzaków tytoniu i drugie, na którym sterczał las wysokich łodyg kukurydzy. Ścieżka wiodła do furtki w lichym płocie z gałęzi, wzmocnionym przez gęsto rozrosłe kaktusy. Kroki nasze i rozmowa wywabiły na próg furtki gromadkę dzieci i kilka psów. Psy szczeknęły zajadle, ale wezwane gwizdem przez Paragwajczyka, podbiegły ku nam, wymachując ogonami. Po psiemu. Dzieciarnia zniknęła. Słyszeliśmy tupot bosych nóg na boisku podwórza.

Weszliśmy.

W cieniu figowców i drzew pomarańczowych, wznosiła się chata z chróstu spojonego gliną, kryta

sitowiem. Trochę zboku, w głębi, obórka czy chlewek.

Oliwkowej cery kobieta, w białej mancie na głowie i ramionach, i w białej spódnicy, wyszła ku nam z chaty.

— Jak się macie donia Pulcheria! — zawołał inżynier.

Z miłym uśmiechem na szerokich ustach, odkrywającym dwa szeregi dużych, białych zębów, podeszła donia Pulcheria. Wielkie jej czarne oczy wesoło spoglądały na nas.

— Co za radość, co za radość! Tak dawno ludzi nie widzieliśmy! — wołała.

— Don Antonio w domu? — pytał, witając się, pan S.

— Niema, ale przed nocą wróci.

Zasiedliśmy pod sękatym, rozłożyliśmy figowcem. Opodał, okolone kamieniami, tliło się niewielkie ognisko. W ustawionym na kamieniach, cynowym, okopconym imbryku syczała woda. Gospodyni podsycała ogień, nasypała w małą, jajkowatą tykwę yerby i zalała ją wrzątkiem.

Przy czynnościach tych ust nie zamykała. Spragniona rozmowy mówiła szybko dźwięcznym, przyjemnym głosem, uśmiechnięta i ruchliwa, zwracając aksamitne spojrzenia to na mnie, to na inżyniera, to na szypra Paragwajczyka.

Piliśmy kolejno yerbę z tykwy, przez długą, srebrną, jak zwykle, bombillę. Broń Boże nie przyjąć lub obetrzeć koniec bombilli, który do ust się kładzie. Byłaby obraza.

Mój gospodarz, rodowity paryżanin, sypał dowci-

pami jak z rękawa. Donia Pulcheria, stojąc na uboczu, gotowa na zawołanie, słuchała, opuszczając czasem powieki i zasłaniając śmiejące się usta grzbietem ładnie utoczonej ręki.

Przez otwarte drzwi chaty wyglądały dzieciaki. Najstarszy: chłopak kilkonastoletni i dziewczynka może dziesięcioletnia, w koszulach, reszta, jak Bóg stworzył.

Przyglądałem się im z ciekawością. Ciałka oliwkowe, oczy czarne, jak u matki, ale włosy jasne, lniane, zupełnie lniane, polskie.

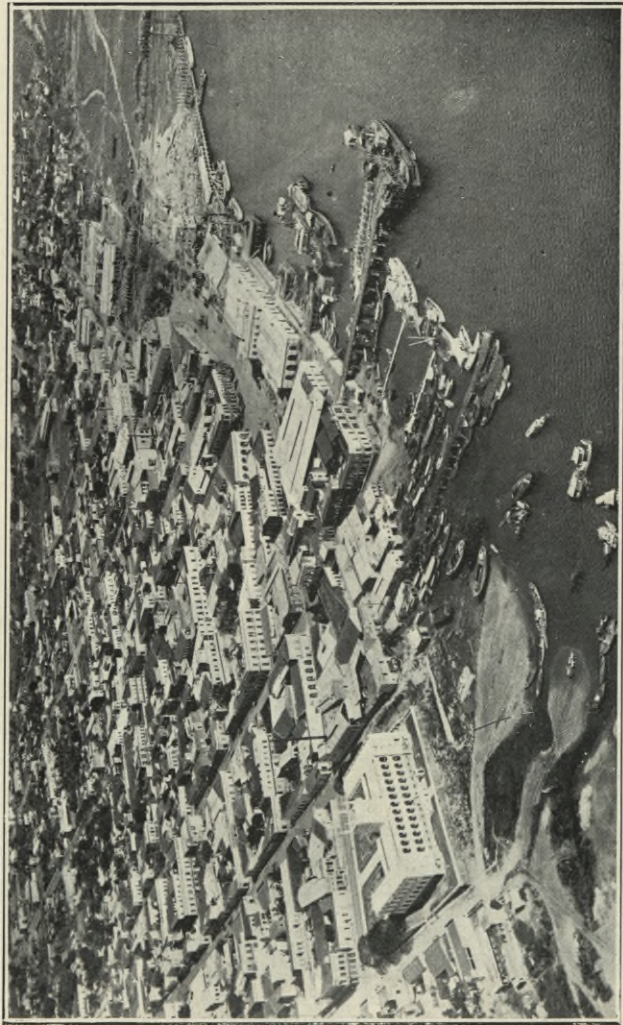
Zabawnie wyglądało to uwłosienie polskie na główkach kreolów.

Słońce zachodziło, upał dnia podzwrotnikowego zelżał, nad nami niebo seledynowe bez skazy, dokoła lasy ciche, ogromne.

I było nam tak dobrze w tem gwarzeniu wesołem, zdala od wszystkiego, co konwenansem, cywilizacją, gorączką posiadania trąci!

Słońce zaszło. Ledwie znikły ostatnie jego promienie, a już całun nocy, usiany gwiazd srebrnych mrowiem, rozpostarł się po niebie. Ognisko, co dotychczas tlało ledwie dostrzegalne, rzuciło przez odstępy pomiędzy kamieniami snopy czerwonych promieni.

Zerwały się psy, leżące w pobliżu ogniska, pobiegły ku furcie i po chwili stanął przy nas mężczyzna wysoki, barczysty, w białym ubraniu płóciennem, oparty na karabinie Winchestera, jak na lasce. Broda gęsta, jasna, ruda niemal, lecz mocno już siwiejąca, spadała mu wachlarzem szerokim na piersi. Wąs zawieszisty okrywał wargi.



3. Widok Asuncion z lotu ptaka. (Na pierwszym planie, na lewo, pałac dyktatora Lopeza).



4. Pałac dyktatora Lopeza, obecnie miejsce urzędowania prezydenta
reczyposp. paragwajskiej (od strony ulicy).



5. Targ w Asuncion.

— Nareszcie doczekaliśmy się was, don Antonio! — zawołał inżynier, poczem przedstawił mnie, jako Polaka.

— I ja pochodzę stamtąd — odparł don Antonio, po hiszpańsku, głosem, w którym drgnienia najmniejszego nawet nie zauważyłem.

— Pan dawno z kraju? — spytałem.

— Trzydzieści pięć lat, a tutaj trzydzieści.

— Tu, w tych lasach?

— Tak.

— I nie tęskno panu do świata?

— Ha, ha! To tak jakgdyby pan ryby pytał, czy tęskni do sieci rybaka. Tam sieć, oddechu brak, tu woda, życie.

Spoglądałem na niego pytająco. Oczy błękitne, otoczone siecią zmarszczek, miały wejrzenie wesołe, obojętne. W palcach skręcał papierosa.

— Dziwi się pan — mówił. — Pan o wiele młodszy ode mnie. Niechno pan tyle zobaczy, tyle przejdzie, co ja, będzie inaczej. Dzieckiem niemal wyszedłem z kraju rodzinnego, przedepatałem w mundurze mil tysiące. Walczyłem. Widziałem krew strumieniami płynącą, widziałem zarazę, widziałem męki głodowe. Potem znalazłem się wśród swoich. Zwiedziłem pół Europy, wkońcu miałem tego dosyć. Bodajem tam nie był. Plunąłem na wasz świat cywilizowany. Jakimi drogami tu przybyłem? — dużo opowiadać. Osiadłem w puszczy i tyle. Widzisz, jak mieszkam, widzisz, co mam. Gdybym był zechciał, to wszystko — tu zatoczył ręką wyciągniętą szerokie koło w powietrzu — polany, stepy i lasy byłyby moje. Mogłem nabyć za bezcen. Ale na co? Kukurydza, tytuń, trochę

bydła, polowanie i zbiór yerby w lasach wystarczają mi zupełnie. Widzisz, że mam i rodzinę. Trafiłem na kobiety dobrą. I żyjemy razem już lat kilkanaście. Dobrze nam, bardzo dobrze. Prawda, donia Pulcheria? Prawda, *amiga*?

Gospodyni, kręcąca się koło ognia, wciąż gotowa na skinienie, odgarnęła spadający na oczy promień włosów kruczych i spojrzała na mówiącego wzrokiem takim, jakim pies spogląda na umiłowanego pana.

— Dzieciaki moje — ciągnął don Antonio — to Paragwajczycy. Wiedzą coś niecoś, że ich ojciec pochodzi z krainy dalekiej, hen za morzami, gdzie sosna wdół, nie wgórze konary swe zwraca,* ale co ich to obchodzi? Tu się porodziły, tu się wychowują, są *hijos del pais* (synami kraju). Czy nie wszystko jedno, jakiego kraju?... Uważał pan, znać pomimo wszystko krew moją. Te czupryny gęste, lniane... Uderzyło to pana już zapewne, bo to wszystkich uderza. Matka jest dumna ze swych *rubios* (blondynów)!

Roześmiał się. Wspomnienie czupryn gęstych, lnianych wywołało odruch mimowolny. Zdjął kapełusz i pogładził głowę, a ta głowa była na ciemieniu łyśa zupełnie. Jasnoróżowa, nie opalona skóra odcinała się rażąco od brązowej twarzy.

Spojrzał w stronę chaty. Niedaleko ścian jej stał tapczan drewniany na wbitych w ziemię palach. Dzieci, usadowiwszy się na nim, zasnęły w najlepsze, oparte jedno na drugim, nie sobie nie robiąc z moskitów, widocznie przyzwyczajone do tej plagi, tak dokuczliwej dla Europejczyka.

* Mowa o sośnie brazylijskiej (*Araucaria brasiliensis*).

Rozmawialiśmy po hiszpańsku. Od czasu do czasu zdanie swoje wtrącił to pan S., to szyper Paragwajczyk.

Don Antonio opowiadał o sobie tak obojętnie, jak opowiada się anegdotki o innych, i byłbym przysięgł, że Polak zamarł w nim zupełnie.

— A pan dawno z kraju? — zagadnął mnie wśród rozmowy ożywionej.

— Cztery lata.

— To tyle, co nic. Pan mówi po polsku?

— Ma się rozumieć! — zawołałem, rozśmieszony tem naiwnem pytaniem.

— Ja zupełnie zapomniałem. Ale niechno pan co powie po polsku. Ciekaw jestem, czy pojmem jeszcze choć cokolwiek.

Tak niespodzianie zaskoczyła mnie ta propozycja, że nie wiedziałem, co powiedzieć. Naprózno przebiegałem myślą urywki z poetów naszych — wszystkie zdawały mi się nieodpowiednie. Nagle — nie wiem — czy to pod wpływem otoczenia, czy nastroju, jaki we mnie widok tego człowieka wywołał, czy też bezwiednego nakazu duszy — dość, że przyszła mi na myśl — Modlitwa Pańska:

— Ojcze nasz, któryś jest w niebiesiech — zacząłem mówić bez namysłu, wolno i dobitnie.

Don Antonio słuchał, wsparłszy łokcie na kolanach i objąwszy dłońmi twarz opaloną. W palcach prawej ręki trzymał świeżo zapalonego papierosa. W oczach igrał mu uśmiech zaciekawienia.

— Święć się Imię Twoje. Przyjdź królestwo Twoje...

W miarę, jak mówiłem, powieki słuchacza otwierały się coraz to szerzej i szerzej. Znikł uśmiech burzą uczuć zmieciony, twarz pałała niepokojem.

— Bądź wola Twoja, jako w niebie, tak i na ziemi...

Wpił się oczyma w usta moje. Nozdrza cienkiego, orlego nosa drżały nerwowo, z oczu tryskały błyski, papieros wypadł z ręki.

— Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj. I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom...

Odbywała się w nim praca jakaś olbrzymia. Miałem wrażenie, że ktoś ciężką kamienną płytę grobowca gołemi rękoma odwala.

— I nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego...

Ręce don Antonia zwisły ku ziemi, głowa opadła tak, że kark widziałem opalony.

Milczenie panowało głębokie.

Zaledwie wymówiłem: Amen! — wyprostował się, wstał i, jak lunatyk, zapatrzony w dal ciemną, ruszył od ogniska ku furcie, przekroczył jej próg i znikł posępny w kirach nocy.

— *Santa Madre de Caacupé*,* co mu się stało? Ja go nigdy jeszcze takim nie widziałam! — zawołała donia Pulcheria...

Gdyśmy późną już nocą wracali do parowca, lartarką szypra wiedzeni, w puszczy odzywały się beczenia jakieś, świsty, nawoływania tajemnicze, straszne.

Dziwne te lasy podzwrotnikowe! W dzień, jak

* Święta Matko z Caacupé!

głaz martwe, w nocy żyją. I zdawało mi się, że to harce dziwożon, upiorów, chochlików rozbudzonego sumienia, że z krzaków, trzciny, pnączów i konarów mchami obrosłych ściekają łzy wielkie, kropliste, że cała puszcza łka...

Ze świtem ruszyliśmy w dalszą drogę. Jadąc zpowrotem, nie mieliśmy już czasu, by wstąpić do don Antonia.

Przeszedł przez życie me, jak cień i pozostało po nim tylko wspomnienie w echu Modlitwy Pańskiej.

Rozdział V.

Rzeka Jejuy. — Gryzące ryby. — Ślady zwierząt. — Syk aligatora. — Boa w dziupli. — Concepcion. — Indjanie Sanapana. — Handel zamienny. — Legendy Indjan szczepu Guarani. — Obzęd zaślubin.

Na niewielkiem urwisku, z którego zwieszały się ku wodzie poplątane liany i zwiechrzone czupryny drzew lasu, oczekiwały na nas przygotowane sągi drzewa. O kilkaset kroków za nami szerokie, błyszczące jak srebro przy świetle poranka, wody rzeki Jejuy zlewały się z Paragwajem.

Znajdowaliśmy się w estancji Barranquerita, stanowiącej własność mego gościnnego gospodarza.

Rodzina gauchów z bojowym kogutem i dwoma kotkami, które, nawiasem mówiąc, schrupały mi kilka przeznaczonych do wypchania ptaków, wysiadła i puściła się w głąb lądu, ja zaś, w towarzystwie młodego Anglika, ruszyłem wdół rzeki.

Żółty piasek połykiwał w ukośnych promieniach

wschodzącego słońca, migocąc wszystkimi barwami tęczy. Od rzeki wiało chłodem, wśród zarośli i drzew gęstwiny świergotało ptactwo, niezmuszone jeszcze przez upał dnia do milczenia. Zwłaszcza ostry krzyk papug rozlegał się wesoło. Im dalej posuwaliśmy się, tem bardziej rozszerzało się wybrzeże, tworząc piękną, jasną plażę, jak się dzisiaj mówi.

Jakże rozkosznie byłoby zrzucić ubranie i skoczyć w wartkie, chłodzące nurty. Niestety, zakłęte to wody i tylko wyobrażać sobie można tutaj taką orzeźwiającą kąpiel, bo nie tylko aligatory, ale także niewielkie, lecz gryzące ryby, zwane przez krajowców *pirania*,* nie pozwalają na to.

Ryby te rzucają się chciwie na ciało ludzkie i wyrwają ostremi zębami mięso, zadając bolesne i trudno gojące się rany. Biada pływakowi, którego *piranie* napadną zdala od brzegu. Ginie z upływu krwi pod ich zębami.

Zrezygnowani więc szliśmy wzdłuż nęcącej, a tak niegościnnej rzeki, gdy nagle spostrzegłem w jednym miejscu liczne ślady na piasku. Przyjrząwszy się im bliżej, poznałem, żeśmy wkroczyli na ścieżkę, którą zwierz leśny zwykł chodzić do wody. Łatwo rozpoznałem ciężkie, szerokie kopyta tapira, śpiczaste, wąskie racice jeleni, okrągłe poduszki łap kotów leśnych i wreszcie, jak pięść wielkie, jaguara. Ślady były tak świeże, że mimowoli pobiegłem za nimi wzrokiem

* Właściwie *piraya* (*Pygocentrus pyraya*). Straszne te ryby długości 30 centymetrów, kształtem przypominające karpia, mają zęby tak ostre jak brzytwy, a szczęki tak mocne, że przegryzają nawet haczyki stalowe. *Pirania* (*pyranha*) — nazwa portugalska.

w stronę puszczy. O jakie trzydzieści kroków ścieżka kończyła się, na niewielkiem wzniesieniu gruntu, w ścianie leśnej ciemnym, okrągłym otworem, jak wejściem do tunelu, świadczącym wymownie o częstem przechodzeniu zwierza.

— Tu raj dla myśliwego! — westchnąłem.

— Ma pan sposobność do strzału — odparł spokojnie mój towarzysz, posiadający za całą broń laskę w ręce, i spoglądający w stronę rzeki.

— Do czego? — spytałem zaciekawiony.

W odpowiedzi wyciągnął laskę w kierunku osadzonego na piasku przez prąd rzeczny, ogołoczonego z liści i okrytego szlamem pnia drzewnego. Widziałem jednak tylko martwe, szare od przyschniętego szlamu drzewo. Ani śladu na niem istoty żyjącej. Nagle doleciał mnie syk zupełnie wężowy, jeno znacznie ostrzejszy, i wówczas dopiero dostrzegłem leżącego na pniu, ze łbem zwróconym w naszą stronę, sporego aligatora, tak zlewającego się barwą skóry z barwą przyschniętego szlamu, że — jak później wynikło z rozmowy — dzięki tylko ruchowi łba jaszczura, towarzysz mój dojrzał go wcześniej ode mnie. A widocznie przerwanie mu przez nas słodkiej drzemki rozniewało leniucha, że wydał ten rzadko słyszany, ostry syk.

Oczywiście, że na syk odpowiedziałem kulą z mego Marlina. Zanim wszakże zdołałem postać mu drugą kulę, aligator zsunął się do rzeki. Naprózno obchodziliśmy pień i badaliśmy powierzchnię wody. Aligator nie ukazał się więcej, ruszyliśmy więc ku ujściu rzeki Jejuy (czyt. Chechui).

Największy to dopływ Paragwaju. Przecina

wszerz całą Rzeczpospolitą Paragwajską, a ponieważ płynie wśród puszczy, obfitujących w *Ilex paraguayensis*, stanowi nader ważną arterję handlową. Prąd ma bystry, to też wielkie barki, dążące po yerbę wgórę rzeki, do miasteczka Ygatimi, leżącego niedaleko źródeł, potrzebują niemal trzech tygodni do odbycia tej podróży przy pomocy żagli i długich wiosł.

Ogromna, migotliwa płaszczyzna zlewu dwóch wielkich rzek rozpostarła się przed nami. Jaśniejsze nieco wody rzeki Jejuy wrzynały się głębokim klinem w Paragwaj i, porwane jego prądem, zawracały na południe. Zdala, na przeciwnym brzegu, tak samo jak za nami, ciągnęły się bez końca linje ciemnej zieleni odwiecznych lasów. Tylko szmer i plusk wody przerywał ciszę krajobrazu, nienaruszonego jeszcze ręką ludzką.

Zapatrzyłem się tak w wiry, tworzące się przy zlewie obu prądów, żem nie zauważył nawet, iż mój Anglik gdzieś się zapodział. Dopiero po dłuższem rozglądaniu się, spostrzegłem wspinającego się na drzewo rozłożyste na skraju lasu. Jak wyżej wspomniałem, młodzieniec ten zbierał namiętnie jajka ptasie, jak inny znaczki pocztowe, przypuszczałem więc, że dojrzał gniazdo wśród konarów drzewa, na które wspina się tak gorliwie i już podziwiałem bystrość jego wzroku, gdyż liście tego drzewa tworzyły zwarty gąszcz. Omyliłem się jednak, bo oto zatrzymał się, nie dosięgłszy konarów i wsunął rękę w dziuplę, którą dopiero teraz spostrzegłem.

Tam więc jest gniazdo! — pomyślałem. Nim wszakże zdołałem ruszyć się z miejsca, zaciekawiony zbieracz jaj cofnął szybko rękę z dziupli i prawie

jednocześnie ujrzałem, przerażony, ohydny, płaski łeb węża, wysuwający się z otworu. Zdrętwiałem. O pośpieszeniu z pomocą nie mogło być mowy, strzelać zaś nie mogłem w obawie trafienia w nierozważnego chłopca, a byłem pewny, że gad rzuci się na napastnika. Ale ku wielkiej mej radości, wąż, zamiast wpić zęby w wyciągniętą jeszcze do góry rękę mego towarzysza, wysuwał się szybko z dziupli wdół drzewa! Czy mogłem w tej chwili przypuszczać co innego, jak tylko to, że Anglik usunie się z drogi wystraszonej najwidoczniej niespodziewanem najściem gadzinie? Można więc wyobrazić sobie moje zdumienie, gdy ujrzałem, jak wyciąga rękę i błyskawicznym ruchem chwyta gada za szyję i razem z nim zsuwa się z drzewa!

Nie chciałem jeszcze wierzyć oczom swoim, a już chłopak, ujawszy drugą ręką wijącego się gada wpół ciała, i trzymając go przed sobą, szybko szedł ku mnie rozpromieniony.

— Boa, młody boa! — wołał. — I niech pan sobie wyobrazi moje przerażenie — dodał, potrząsając cielisto-szarem, w ciemne plamy, wijącym mu się w rękach cielskiem gada — gdy wetknąwszy rękę w dziuplę, którą spostrzegłem, gdy pan wpatrywał się w wiry, uczułem pod palcami, zamiast zielonawych jaj tukania (*Ramphastus*, w języku Guaraní: *tuca*), których jeszcze nie posiadam, a które spodziewałem się tam znaleźć, suche, zimne ciało węża! Cofnąłem szybko rękę, z chwilą jednak, gdy gad zaczął wysuwać się z dziupli, poznałem z kim mam do czynienia. Postanowiłem więc skorzystać z tak nieoczekiwanej sposobności i powetować sobie jaja tukana zdobyciem młodego

boa dusiciela, boć wiedziałem, że choćby mnie ugryzł, to niewiele mi szkody wyrządzi ze względu na słabość wtył wygiętych zębów, przeznaczonych raczej do wciągania w gardziel łupu, niż do gryzienia.

Musiałem w duchu podziwiać zimną krew i odwagę młodocianego syna Albjonu!

— I co pan zrobi z tą zdobyczą? — spytałem.

— Wychowam ją sobie! — odparł bez namysłu, a ponieważ wijący się boa krępował mu ruchy i ciężył w rękach, ja zaś nie chciałem tknąć gada, uszczęśliwiony zbieracz jaj ptasich, a zdobywca węża, pośpieszył zpowrotem w stronę parowca, aby ulokować swą zdobycz.

Że mój Anglik chciał chować swą zdobycz, nie zdziwiłem się temu. Schwytany przez niego wąż mierzył około półtora metra długości, a grubością dorównywał w środku ciała kiści ludzkiej, należał zaś do pospolitego w Ameryce międzyzwrotnikowej gatunku boa dusiciela (*Boa constrictor*), rzadko przekraczającego długością cztery metry i łatwo przyzwyczajającego się w młodości do ludzi, to też często bywa trzymany w Brazylji w szopach i składach, gdzie tępi szczury i myszy.

Daleko groźniejszy od niego jest boa wodny, anakonda, (*Eunectes murinus*), sięgający dziesięciu metrów długości, a grubości uda ludzkiego i będący z tego względu, obok swego krewniaka azjatyckiego, olbrzymiego położowęża (pytona) siatkowanego (*Python reticulatus*), największym wężem na świecie.

Anakondę zowią krajowcy w języku Guarani *yagua mboi*, t. j. psim wężem, ze względu na kształt jej

łba * i obawiają się jej bardzo, a zarazem nienawidzą, gdyż wyrządza im szkody znaczne w kurnikach i chlewach. Anakonda bowiem, przebywająca, dodajmy, stale w rzekach, jeziorach i mokradłach lub nad ich brzegami, nie gardzi ptactwem domowem osad nadbrzeżnych, choć może również zdusić i połknąć kozę, owcę, dorosłą kapibarę, pakę (*Aguti paca*), a nawet młodego jelenia leśnego (*Cervus rufus*).

Gdym dotarł wreszcie do parowca, ujrzałem młodzińca wierzącego gorliwie dziury w próżnej skrzynce drewnianej, mającej służyć za tymczasową klatkę dla jego zdobyczy, wijącej się, widocznie w poszukiwaniu wyjścia, w worku płóciennym, wiszącym na barjerze statku.

Nazajutrz o świcie, minąwszy zwrotnik Koziorożca, „Manuel Melina” zatrzymał się u wysokiej przystani miasta Concepcion, liczącego pono 16.000 mieszkańców i będącego trzeciem, co do wielkości, miastem Paragwaju, sprawiającem jednak wrażenie marne.

Chaty z gliny i chróstu sklecone, z wystająciami od frontu okapami, opartymi na słupkach drewnianych, brudne i mizerne, stanowią trzy czwarte budowli. Domów murowanych może kilka dziesiątków, chodników lub bruków ani śladu.

Smutno tu, nudno i gorąco.

Termometr wskazuje 40 stopni w cieniu.

Pomimo wszakże marnego wyglądu, Concepcion

* Nazwę węża o łbie psim nosi jeszcze inny gatunek boa, mianowicie zielony bojobi (*Corallus caninus*), sięgający trzech metrów długości, bardzo zły i kąśliwy.

posiada tramwaj, przecinający miasto z końca w koniec, telefon, gazetę tygodniową i — trzy fabryki lodu. Widocznie do tego chłodzącego produktu mieszkańcy najbardziej wzdychają.

Na wielkim placu, a raczej wygonie, stanowiącym rynek miejski, przekupki drzemały lub gwarzyły, paląc nieodstępne cygara, pod szerokim okapem muranego targu. Kilka arb wysokich, których skrzypiące koła słyhać nawet, gdy toczą się leniwie po miękkich drogach leśnych, na odległość całych kilometrów, stało pośrodku placu, rzucając ostre cienie. Obok nich senne grupy wołów pociągowych lub juczych przeżuwały poważnie strawę. Opodal kilka Indjanek z plemienia Lengua, okrytych łachmanami, zbierało odpadki targowe i zносиło je mężom, co nadzy zupełnie, z piórami powtykanemi w długie, krucze włosy, z wielkimi drewnianemi krążkami w przedziurawionych uszach i z bransoletami paciorkowemi na rękach i nogach, ukucnąwszy przed małemi ogniskami z gnoju bydłęcego, obojętni na żar lejący się z nieba, piekli na patyczkach znalezione ochłapy mięsa.

W głębi placu wznosiły się białe mury dostatniego pozornie kościoła. Gdym jednak podszedł do nich i odchylił zastępującą wrota, brudną, sukienną, niegdyś amarantową zasłonę, ujrzałem nieprzyjemnie zdziwiony, że poza frontem muranym ukrywa się zwykła drewniana szopa. Cicho w niej, ubogo i brudno. Trzy ołtarze jaskrawo pomalowane, kilka figur świętych, kilka lichych obrazków, kilkadziesiąt krzesel i stołków — oto wszystko.

Jakże dziwnie smutno wyglądał ten dom Boży

w porównaniu z najskromniejszym choćby naszym kościółkiem wiejskim!

Jeżeli wszakże nie znalazłem w tym przybytku Pańskim bogactwa i skarbów artystycznych, zato odkryłem vota szczególne. Mianowicie, zwróciły uwagę moją przybite do ścian mniejsze lub większe karteczki, zamazane niezgrabnymi rysunkami piórem lub ołówkiem czerwono-niebieskim, pod którymi widniały również niewprawną ręką skreślone napisy takie, jak: „Świętemu Antoniemu za uratowanie dziecka wdzięczna matka”; „Najświętszej Pannie za uratowanie życia, ukąszony przez grzechotnika”; „Najświętszej Pannie za ochronę dobytku” i t. d. i t. d.

Naiwne te vota biedaków opłaciły mi sownie za wód, który mnie spotkał, gdym wstąpił w te ubogie progi.

Wyszedłem. Upalne promienie słońca uderzyły mnie w twarz, skręciłem więc co prędzej w najbliższą ulicę i skryłem się pod wystającymi okapami domów, tworzącymi cieniste galerje. Ze wszystkich stron dolaływały trzeszczące, nieprzyjemne dźwięki, jak spotęgowane wielokrotnie ćwierkanie naszych koników polnych. Niebawem stwierdziłem, że niezwykle, głośne te trzeszczenia wydają wielkie, długości z półtora cala, muchy, cykady, o mieniącym się metalicznie, zielonym tułowiu i mocnych, przezroczystych skrzydłach. Cykady te, zwane po hiszpańsku *chicharra*, a w języku Guarani *niakuná*, obsiadają gromadnie drzewa, a trzeszczenie ich jest tak donośne, że uszy bołą, przynajmniej świeżego, nie przyzwyczajonego do nich przybysza.

Mijając domostwa o oknach zakratowanych, ale

bez szyb najczęściej, zapuszczam niedyskretnie wzrok do wnętrza. Gdzie niegdzie tylko meble jakie takie, przeważnie wszakże tylko parę stołków, stół, *brasero* (przenośny piecyk żelazny do gotowania potraw na węglach drzewnych) i hamak, stanowią całe umeblowanie. Kroki moje rozlegają się głośno w pustej ulicy, nieraz przeto wychyla się z hamaku leniwie główka o kruczych, zwichrzonych włosach i wielkich czarnych oczach, popatrzy na niewczesnego przechodnia i znów niknie w kołyszącym się zwolna hamaku.

Gdzie też nie gnieździ się życie! Gdyby kazano mnie, przywykłemu do wrzawy wielkomiejskiej, osiedlić się w dziurze takiej choćby na lat kilka, uciekłbym z niej bodaj piechotą. A jednak ludzie rodzą się tu, smucą i cieszą, pracują i bawią, wreszcie umierają, nic nie widząc, prócz piasków na ulicach, cichych wód rzecznych, ciemnej linji puszczy i błękitu nieba bez skazy, lejącego upał przy trzeszczeniu cykad...

A gdy nadejdzie pora deszczowa, zwały chmur szaro-rudych zasłonią błękit niebios; rozhulają się gromy, turkocąc głucho całymi godzinami w przestworzu; piorun bije za piorunem z trzaskiem ogłuszającym i leją się z chmur potoki wody, jakby wszystkie moce złośliwe bez przerwy na świat wiadrami chlustały — podziwia wędrowiec, w białym, mrugającym świetle nieskończonych błyskawic, krzyżujące się we wszystkich kierunkach, na tle czarnem, ogniste węże piorunów; truchleje wobec mocy szalonej żywiołów. Ale przechodzi nawałnica, piekące słońce ssie chciwie wilgoć z ziemi, rozpęd dziki przyrody podzwrotnikowej zakrywa szybko drzewa powalone lub strza-

skane, powraca cisza z trzeszczeniem cykad i znów główka kruczowłosa wychyla się leniwie z hamaku i śledzi znudzonym wzrokiem sylwetkę rzadkiego przechodnia, przesuając się przed oknem...

Po południu dnia następnego ujrzałem daleko przed parowcem, na wybrzeżu szmaragdowem rzeki, gromadkę ciemnych postaci. Przez lornetkę rozpoznałem Indjan. Widać dostrzegli parowiec, gdyż coraz więcej ich wybiegało z gęstwiny leśnej i zbierało się na wybrzeżu.

Płynęliśmy szybko, wkrótce więc już gołem okiem mogłem rozróżnić mężczyzn, kobiety i dzieci.

Indjanie spuścili dwie wąskie, długie łodzie z wydrążonych pni drzewnych na wodę i posługując się wiosłami podobnemi do łopatek, ruszyli ku nam.

— Sanapana, ludzie spokojni, nie złodzieje, jak Tobowie — rzekł sternik.

Pan S. kazał zatrzymać maszynę. Indjanie uchwycili się krypy, przyczepionej do boku parowca. Czterech wskoczyło na nią. Byli całkiem nadzy. Oprócz piór, zatkniętych we włosy, naszyjników, tudzież naramienników z muszel i paciorków, nie mieli nawet listków figowych na sobie. Dobrze zbudowani, o rysach twarzy dość regularnych, wzroku łęklwym i łagodnym, przedstawiali się istotnie dodatniej, niż Tobowie.

Niewątpliwie pierwsi *conquistadores*, którzy w wieku XVI-tym zabrnęli w te strony, widzieli takich samych nagusów z piórkami w kruczych włosach i z naszyjnikami z muszelek!

Wieki przeszły nad tymi dzikimi bez śladu.

I oto doznałem na mgnienie oka wrażenia, że ze-

gar czasu cofnął się o cztery całe wieki, że oddycham atmosferą odkrywców Ameryki!

Co myśli nasuwa jedna taka chwila króciutka! Błyskawicznie zwijają skrzydła wszelkie nowoczesne zdobycze wiedzy i pędzą wstecz. Już ich niema. Na ciemnych wodach Paragwaju płynie ociężale, przeciwko prądowi, pierwsza karawela białych. U szczytu masztu powiewa dumna, czerwono-żółta flaga Kastylii, a na pokładzie widnieją w hełmach grzebieniastych, pancerzach lśniących, przy mieczach i z arkebuzami lontowemi w rękach, awanturniczy rycerze i najemnicy cesarza Karola V i Filipa II. A z gęstwiny nadbrzeżnej wybiegają, aby się przyjrzyć uskrzydlonemu statkowi i opancerzonym na nim przybyszom, ci sami nadzy, z piórkami we włosach Indjanie, na których właśnie patrzę z parowca. Cóż, że cztery wieki minęły? Oni są ci sami, bo tacy sami.

Jakże zatracą czasem człowiek zmysł terażniejszości w wędrówkach po świecie!

Nadzy przybysze zaczęli wszyscy razem szwargotać krzykliwie. Szyper, Paragwajczyk, objaśnił mnie, że mówią narzeczem języka Guarani, i że proszą, abyśmy nabyli od nich skóry upolowanych zwierząt.

Wobec zgodzenia się mego gospodarza na tę propozycję, Sanapanowie skoczyli do swych łodzi, a parowiec podpłynął za nimi do niewielkiej łąki, otoczonej łukiem rzadkiego lasu, podszytego gęstemi zaroślami. Ze trzydziestu Indjan z kobietami i dzieciarnią, wyglądającą trwożliwie z poza — należałoby powiedzieć dla przyzwoitości — spódnie matczynych, okrążyło nas, witając szwargotem głośnym, któremu wtóro-

wało niemniej głośne szczekanie gromady psów, przypominających wilki.

Zaczął się handel zamienny.

Pieniądze stanowiła butelka rumu, worek sucharów, kilka pustych blaszanek po oleju do maszyn, siekiera i parę sztuk starej garderoby. Najbardziej nęciła ich siekiera. Oglądali ją, próbowali ostrza, z rąk nie wypuszczali. Niektórzy wszakże, snadź już syci swej nagości, rzucili się chciwie na garderobę i po chwili paradowali jedni w koszulach, inni w kamizelkach lub podartych spodniach.

Prosiłem szypra, by spytał, czy odstąpią mi co z broni swojej. W odpowiedzi kilku ruszyło ku zarosłom. Poszedłem za nimi.

Wśród drzew i krzaków kryły się ich chaty, a raczej szałaszy, niedbale splecione z gałęzi i chróstu. Zajrzałem do jednego. Kilka mat rozesłanych na ziemi, garnki własnego wyrobu, porozwieszane na gałęziach torby, plecione z włókien pnączy, sieci i sznurki stanowiły całe gospodarstwo tych biedaków. Na ścianach zewnętrznych niektórych szałasów suszyły się, porozpinane na kołkach, skóry jeleni i dzików (*javali*).

Przewodnicy moi powynosili z szałasów długie łuki, strzały trzcinowe o grotach z niezmiernie twardego drzewa *quebracho*, noże drewniane, maczugi, torby siatkowe i t. d.

Wybrałem kilka z przyniesionych przedmiotów i podałem Sanapanom dwa pesy (peso — moneta wartości nominalnej 5 fr., posiadająca jednak kurs znacznie niższy). Ujrzawszy banknot, Indjanie ro-

ześmiali się, dając mi znakami do zrozumienia, że go nie przyjmą.

— Dla nich — wtrącił szyper, towarzyszący mi w roli tłumacza — pieniądz nie ma żadnej wartości.

— Co za szczęśliwi ludzie! — westchnąłem.

Wkońcu przyjęli za broń przeze mnie wybraną pięć pudełek zapalek woskowych i starą koszulę flanelową.*

Indjanie, zamieszkujący puszcze Paragwaju, dzielą się na liczne plemiona. Najbardziej znane są plemiona: Lengua, Yanguaite, Guaicurú (ciekawe, że w języku Guarani *guaicurú* znaczy: tubylec, Indjanin), Caduver, Payagua, Chamacoco, Sanapana.

Wszystkie należą do wielkiego, jak wspomniałem, szczepu Guarani i używają narzeczy tego języka. Wogóle są usposobienia łagodnego i chętnie łączą się z białymi. Najczęściej mieszkają w głębi lasów, żyjąc z polowania; znali wszakże uprawę tytoniu i kukurydzy już przed przybyciem białych do ich krainy (tytuń — *petég*, kukurydza — *avati*).

Choć mało rozwinięci umysłowo, mają pojęcie o Istocie wyższej, Wielkim duchu (Nandeyára), rządzącym światem.

Duch ten żyje w zjawiskach przyrody. Gdy np. deszcz pada, powiadają, że Nandeyára płacze, gdy słońko świeci — Nandeyára jest zadowolony.

Nandeyára obdarzył świat dwojgiem kochanków: piękną, smutną Nanceideg (księżyc) i wspaniałym,

* Przedmioty wówczas nabyte, jak i inne z tej podróży, przesałem Muzeum Etnograficznemu w Warszawie.

ognistym Cuaraeg (słońce). Wielki kacyk, Carai-guazu (dosłownie: *carai* — człowiek, *guazu* — wielki, tak Indjanie nazywają też prezydenta), zakochał się w pięknej Nanceideg, dziewczyna jednak, mając już młodego, dzielnego kochanka, nie odwzajemniała się wcale staremu, choć wielkiemu kacykowi. Lecz stary nie dał za wygraną. Odkrył amulet, zapomocą którego przyciągnął do siebie dziewczynę. Nanceideg, wiedzona ciekawością kobiecą, zaczęła szukać przyczyny tego nagłego przywiązania do starca i wreszcie pewnej nocy, gdy Caraiguazu spał smacznie, znalazła na piersi jego amulet pod postacią kawałka wosku leśnego (*araitég*), owiniętego w skórę zielonego węża (*payé curundu*). Zdjęła więc ów amulet niegodziwy, rozłączający ją z ukochanym, i zaniósła pięknemu Cuaraeg. Ocknąwszy się ze snu i spostrzegłszy brak amuletu, Caraiguazu zapłonął strasznym gniewem i poprzysiągł zgładzić kochanków, oni jednak unieśli się, z woli Nandeyáry, wysoko ponad ziemię i odtąd przyświecają jej naprzemian pięknością swoją, stary zaś Caraiguazu umarł ze zgrzyoty.

Zły duch, Ainac, nosi też nazwę Tuyá (stary). Jak opiewa podanie, ów Tuyá, przyszedłszy na świat, był dzieckiem bardzo brzydkim, chorowitem, do niczego, to też stał się pośmiewiskiem młodzieży silnej i zdrowej. Raz nawet, spotkawszy brzydala na łące, chłopcy porwali go i zaczęli podrzucać nim, jak piłką. Tuyá upadł na ziemię, zwichnął nogę i od tego czasu kulał. Ta krzywda, wyrządzona mu przez ludzi, wywołała w nim żądzę zemsty. Pewnego dnia spotkał nad strumieniem czarownicę, mającą na głowie, zamiast włosów, węże. Czarownica nauczyła go sposobu zmienia-

nia postaci. Tuyá skorzystał zaraz z tego. W chęci szkodenia ludziom, przedzierzgnął się najpierw w dzika, następnie w lisa, potem jeszcze w jaguara, aż wreszcie, po wielu przemianach, doszedł do wniosku, że dla szkodenia ludziom najlepiej być człowiekiem. Od tego czasu włóczy się po świecie stary kuter-noga, czyniąc zło, gdzie tylko może.

Gdy przed burzą wichur nachyla czuby drzew puszczu, jęczy i narzeka, starcy powiadają, że to Kalila po ziemi chodzi. Przed laty bowiem ta najpiękniejsza dziewczyna plemienia Caracara, wyniszczonego zupełnie przez pierwszych *conquistadorów* hiszpańskich, pokochała cudnej urody młodzieńca Aimairá, zachwycającego wszystkich, poza pięknością swą, jeszcze grą niezrównaną na piszczałce trzciniowej. Gdy stawał w gronie dziewcząt, narzucały mu się wszystkie, on jednak pogardzał nimi i pograwszy na piszczałce, znikał w głębinach leśnych. Pogardził również Kalilą. Wzgardzona nie mogła tego przeboleć. Śledziła ukochanego i znalazłszy ścieżkę, którą Aimairá zagłębiał się w puszcze, pewnego wieczora ruszyła ścieżką ową, zabrawszy z sobą zatrutą strzałę w zamiarze pozbawienia się życia, gdyby i tym razem pogardził nią ukochany. Tak doszła do jeziora Iberá.* Nad brzegiem jego spostrzegła szałas. Jasny księżyc zaglądał do wnętrza. Kalila podeszła cicho do szałasu i omal nie krzyknęła z bólu, ujrawszy w nim spoczywającego na matach Aimairę, a u jego boku prześliczną kobietę z plemienia Ainac (plemię złego du-

* Wielkie to jezioro znajduje się w dzisiejszej prowincji argentyńskiej Corrientes.

cha — biali ludzie). Na ten widok, gniew straszny i zazdrość zawrzały w jej sercu. Jednym skokiem znalazła się w szalasię i zatrutą strzałą przeszła serce ukochanego, a następnie swoje. Oba ciała stoczyły się do jeziora. A właśnie nadciągnęła burza, obłoki zakryły księżyc, wichur wzburzył wody jeziora. Duch Kalili żyje dotychczas. W dźwiękach nadciągającej burzy słyhać jej żale, jęki tęsknoty za nieczułym kochankiem. To też wzdychające do lubyh dziewczęta indyjskie, słyżąc szum wichru wśród lasów, szepcą: Kalila, Kalila...

Wspomniane powyżej, wielkie jezioro moczarzyste, Iberá, ma być siedliskiem ojca wód, E-Yary.

Na samym środku jeziora E-Yara posiada wyspę tajemniczą, na niej zaś istny harem z dziewcząt indyjskich, który wciąż zwiększa. A czyni to podstępnie. Przybiera postać czerwonaka (flaminga) i brodząc poważnie na długich swych nogach w przybrzeżnych wodach jeziora, podchodzi zwolna do miejsca, gdzie zoczył na brzegu dziewczę. I podchodzi tak blisko, że niedoświadczona dziewczyna wyciąga rękę, aby wyrwać mu ze skrzydła choćby jedno z tych pięknych jego piór ciemno-różowych, tak chciwie pożądaných przez dziewczęta, jako ozdoba głowy. Zaledwie wszakże lekkomyślne dziewczę dotknie się piór zaczarowanych, maleje nagle do rozmiarów lilipucich, a E-Yara porywa je i unosi na wyspę tajemniczą.

Rybacy, łowiący ryby daleko od brzegów jeziora, tudzież zbieracze sitowia na dachy do chat, zapewniają przy ogniskach wioskowych dziewczęta zaleknione, że widują nieraz wśród oparów, unoszących

się nad mokradłami, setki tych istot maleńkich, zaklętych przez E-Yare, boga wód.*

Ciekawy jest obrzęd zaślubin.

Gdy młodzieniec indyjski upodoba sobie dziewczynę, to ofiarowuje rodzicom jej dary, prosząc, aby pozwolili mu żyć z ukochaną. Jeżeli rodzice przyjmą dary młodzieńca, ubiegającego się o rękę córki, wówczas odbywa się obrzęd zaślubin podczas najbliższej pełni księżyca, ale pod warunkiem, że księżyc będzie zupełnie czysty, nie osłoniiony chmurką choćby najmniejszą. Lecz warunek ten nie jest znów tak trudny do spełnienia, jakby się zdawać mogło, gdyż w Paragwaju księżyc toczy się prawie zawsze po niebie, jak łąza czystem.

Nadeszła noc zaślubin. Cała ludność wioski zbiera się na polance leśnej, pije yerbę i napój z miodu leśnego, śpiewając przytem i tańcząc. O północy oczy wszystkich zwracają się ku księżycowi. Jeżeli tarcza jego widnieje w tej chwili czysta, niezachmurzona, wybucha radość ogólna, *mendá* (małżeństwo) staje się faktem dokonanym. Młodą parę odprowadzają wszyscy do szałas, przygotowanego przez rodziców nowozaślubionej.

Nie koniec wszakże na tem. Bo jeżeli nocy następnej niebo zachmurzy się i deszcz zrosi ziemię, nowożeńcy nie są uważani za małżonków, jeno za przyjaciół i mogą rozejść się kiedy zechcą.

Czy często się zdarza, że wzdychają do deszczu — nie wiem.

* F. de Oliveira Cezar. „Leyendas de los Indios Guaranies“.

Rozdział VI.

Colonia Risso. — Psy i jaguar. — Przygody z tym drapieżnikiem. — Na pampie. — Vaqueros. — Chwywanie bydła. — „Mamy tygrysa!”

Ze wschodem słońca, siódmego dnia podróży stajemy u wysokiego, okrytego lasem wybrzeża. Z poza drzew wyzierają białe mury i dach obszernego domostwa. Jesteśmy u kresu wędrówki po ciemnych wodach Paragwaju, niedaleko ujścia rzeki Apa, stanowiącej granicę pomiędzy Brazylią a Paragwajem, na estancji Colonia Risso.

Słyszysz te strony z bydła, hodowanego w stanie prawie zupełnej dzikości na pampach (stepach), rozsianych, jak olbrzymie polany, wśród lasów dziewiczych, pokrywających dziesiątki tysięcy mil kwadr., od Serra do Mar, gór, ciągnących się nad Atlantykiem, w prowincjach brazylijskich San Paulo i Paraná, aż hen, do niebotycznych Andów.

Właściciel „Manuela Meliny” zaopatruje się tu w towar, który zapełni mu znów opróżnione krypy i opłaci sownie drogę powrotną do Asuncion.

Naturalnie, pierwszą czynnością, po zaznajomieniu się z majordomem (rządcą) estancji, musiało być wysączenie przynajmniej kilkunastu tykw yerby.

Zasiedliśmy tedy przed domem, nasycając się gorzkawym napojem, gdy kilka psów tęgich, o szerści gładkiej, żółtawej, w ciemniejsze pręgi, podbiegło do nas.

— Tęgie psy — zauważyłem.

— Dobrze na tygrysa — odparł don Esteban, majordomo estancji.

— Więc psy — zawołałem zdziwiony — straszne są dla tego drapieznika?

— W pojedynkę bynajmniej. Przeciwnie, tygrys za psiem mięsem przepada. Niech zato poczują go w gromadzie kilku lub kilkunastu, to idą za nim choćby w głąb lasów i nieraz się zdarza, że przepędzą bestję o kilka mil, albo osaczają na miejscu, prowadząc ujadaniem zaciekłem myśliwych.

Słowa te przypomniały mi zdarzenie, o którem słyshałem w Buenos Aires z ust emigranta naszego, p. G., a potwierdzające to, co don Esteban mówił o chciwości jaguara na psie mięso.

Po przybyciu przed laty do Argentyny, pan G. pracował przez pewien czas na kolonji rolniczej w prowincji Santa Fé, nad rzeką Paraną.

— W owych czasach — mówił — jaguary były jeszcze liczne w prowincji Santa Fé i na pokrytych gąszczem wyspach Parany.

W kolonji naszej posiadał nad brzegiem rzeki tiendę (sklepek i szynk zarazem) młody Francuz, u którego spędzaliśmy zwykle chwile wolne. Pewnej tedy niedzieli wybraliśmy się także łodzią do niego. Zwykle, słysząc nasze okrzyki wesołe, Louis, tak było mu na imię, wychodził na nasze spotkanie w towarzystwie pięknego wyżła, bardzo przywiązanego do swego pana.

Jeżeli w tiendzie byli klienci, to w każdym razie wyżeł wybiegał nad brzeg rzeki i witał starych znajomych radosnem szczekaniem.

Ale tym razem, ani pan, ani pies, nie ukazali się na ścieżce, wiodącej do rzeki. To nas zastanowiło, bo śpiewaliśmy i krzyczeliśmy chórem. Ponieważ jednak

była to godzina popołudniowa, ktoś więc z naszego grona wyraził przypuszczenie, że przyjaciel nasz i jego wyżeł używają siesty. Trafiło nam to do przekonania, wyciągnąwszy więc łódź na brzeg, podążyliśmy, wciąż w dobrych humorach, do samotnie stojącego domku.

Nie zdziwiło nas także, iż drzwi tiendy są naoścież otwarte. Wszak Louis otwierał je zawsze dla przewiewu. Dopiero, gdyśmy weszli do sklepiku i spostrzegli, że nikogo tam niema, ogarnął nas niepokój.

— Hej, Louis, gdzieś się podział! — zawołałem, idąc do drzwi obok lady, za sklepikiem bowiem znajdował się pokój mieszkalny.

Zaledwie wszakże przekroczyłem próg, stanąłem jak wryty.

Louis leżał na łóżku blady śmiertelnie.

— Umarł! — szepnąłem przerażony.

— Umarł! — powtórzyli towarzysze moi, a jeden z nich zawołał nagle:

— Krew! — i wskazał palcem na podłogę.

Wówczas dopiero dostrzegłem krople i smugi krwi, ciągnące się od łóżka aż do drzwi, a nawet poza nie. Tem prędzej więc podbiegłem do łóżka i przyłożyłem rękę do piersi nieprzytomnego.

Okazało się, że oddycha jeszcze, a gdy zaczęliśmy go cucić, otworzył wkrótce oczy i utkwivszy w nas wzrok błędny, szepnął:

— *Tigre, tigre...*

— Gdzie tygrys! — zawołaliśmy chórem, a ja mimowoli zerknąłem na krwawe ślady na podłodze.

Louis, odzyskujący stopniowo przytomność, prze-

tarł dłonią oczy, jakby dla starcia przykrej wizji i spojrzął w tym samym kierunku.

— Widzicie, widzicie! — zawołał. — To posoka mego Hektora. Był tu i porwał mi psa.

Narazie nie mogliśmy więcej z niego wydobyć. Dopiero, gdy jednemu z moich kompanów wpadła myśl szczęśliwa do głowy przyniesienia z tiendy kieliszka konjaku i wiania go w usta oszołomionemu, rumieńce wystąpiły na policzki biedakowi, usiadł na łóżku i zaczął opowiadać głosem podnieconym:

— Wyobraźcie sobie, co się stało! Czekałem na was, ponieważ zaś nikt nie zaglądał do tiendy, a upał usposabiał do snu, przyszedłem tutaj i położyłem się na łóżku, a biedny Hektor rozciągnął się tam, na środku pokoju. Zdrzemnąłem się, gdy nagle ocknęło mnie warknięcie psa. Otworzyłem oczy. Hektor zerwał się na równe nogi i wpatrzony we drzwi cofał się, warcząc, do mnie. Podążyłem za nim wzrokiem i zdrętwiałem. Do pokoju wkraczał ogromny tygrys...

Jak widzicie, strzelba moja stoi, jak zawsze, u wezłowia łóżka. Tygrys jednak do tego stopnia oszołomił mnie swą śmiałością, że leżałem zupełnie bezwładny.

Tymczasem straszny zwierz kroczył wprost do mego łóżka. Czułem, że włosy powstają mi na głowie, że zlewa mnie zimny pot. Widzę, jak Hektor kurczy się, drży na całym ciele, wreszcie wciska się pod łóżko. Tygrys jest już przy mnie. Mógłbym go ręką dotknąć. Ale nawet nie spojrzął na mnie. Schyla się i połową cielską znika też pod łóżkiem. Słyszę krótkie, chrapliwe warknięcie, szamotanie się, wizg i oto wycofuje się bestja, trzymając w pysku, za kark, moje biedne

psisko... Co było dalej — nie wiem. Widocznie zem-
dlałem. Wyście dopiero mnie ocucili.

Wysłuchawszy opowiadania Louisa, ruszyliśmy
już w jego towarzystwie śladami krwi. Wiodły na
pampę (step) i tam nikły wśród wysokiej trawy.

— Mogę — rzekł pan S., gdym opowiedział mu
zdarzenie powyższe — wywdziękzyć się panu przy-
toczeniem przygody, której bohater, a mój przyja-
ciel, był wprawdzie zaskoczony przez tygrysa nie
w łóżku, lecz w lesie, przeraził się jednak zwierza nie-
mniej, niż tamten, a pomimo to zdobył piękną skórę
tygrysią.

Myśliwy ten wybrał się na ptaki, miał więc esko-
petę * nabitą drobnym śrutem. Idąc pikadą,** roz-
glądał się po gałęziach drzew, gdy nagle uwagę jego
zwrócił szelest wśród zarośli, i spojrzawszy w tę
stronę, ujrzał w odległości zaledwie kilku metrów ty-
grysa, szykującego się do skoku.

Struchlał, przypomniawszy sobie, że ma drobny
śrut w nabojach, ale nie było już nawet sekundy do
stracenia. Niewiele zatem myśląc, wygarnął z obu
luf eskopety, mierząc w łeb tygrysa, w nadziei, że
może huk wystrzałów, ogień i dym przestraszą krwio-
żerczą bestję, poczem skoczył za najbliższe drzewo,
aby nabić eskopetę powtórnie.

Szybko wsunawszy naboje w lufy, czekał, ale na-
próżno, bo choć uszu jego dolatywało wyraźnie zło,
chrapliwe mruczenie, to jednak zwierza widać nie

* Escopeta — strzelba. Dawniej w języku franc.: *escopette* —
garłacz.

** Tak nazywają w Ameryce Połudn. linję wyciętą w lesie
przez mierniczych.

było. Wkońcu wychylił ostrożnie z poza pnia głowę i oto, co ujrzał: tygrys tarzał się po ziemi, przecierając ślepie łapami i parszając wściekle, usłyszawszy zaś widocznie kroki strzelca, zerwał się na nogi, rzucał w bok i uderzył łbem w drzewo: śruciny oślepiły go zupełnie!

Teraz już przyjaciel mój mógł śmiało wysunąć się z poza drzewa i dwoma jeszcze celnymi strzałami powalić groźnego przed chwilą przeciwnika.

W ten sposób, wybrawszy się na papugi, upolował tygrysa.

I bylibyśmy może dłużej jeszcze przypominali sobie przygody z królem lasów paragwajskich, gdyby nie oczekiwały już na nas okulbaczone, ładne i zgrabne, choć niewielkie koniki miejscowego chowu, aby bowiem nie tracić czasu, pan S. postanowił zaraz wybrać ze stada bydła stepowego sztuki odpowiednie na wywóz. Dosiedliśmy więc koni i ruszyliśmy przez puszcę, nie podejrzewając nawet, że do powyższych zdarzeń z jaguarami będziemy mogli wkrótce dodać jeszcze jedno i to przeżyte osobiście.

W powietrzu unosiła się mocna, cieplarniana woń ziemi wiecznie wilgotnej. Z obu stron drogi las tworzył ściany drzew, pnączy, zarośli i traw ostrych, wysokich. A wszystko to splecione, pnące się ku górze, zwarte w uściskach śmiertelnych walki o byt, o promienie słoneczne, gdzie niegdzie tylko przeszywające strzałami złotymi te masy zieleni, wrzynające się niemal przemocą tutaj, w te ostępy ciemne, aby, pomimo oporu olbrzymów, dostarczyć odrobin życia karłom, co na dnie puszczy, cherlawe, opuchnięte wilgocią mokradeł, darte i deptane przez silniej-

szych, wloką się rozpaczliwie, bez celu i przyszłości, a jednak żyć pragną.

Nagle, jak przez rozdartą zasłonę, ukazała się oczom naszym pampa. Lasy otaczały ją pierścieniem olbrzymim, a plamy rude, szare i białe pasącego się bydła pstrzyły jasną zielenią traw bujnych, sięgających koniom po brzuchy.

Kilkunastu dzielnych, opalonych jeźdźców przygalopowało do nas gromadą, napełniając powietrze gwarem rozmów i tupotem koni.

To *vaqueros*, pastuchy stepowi.

Co za przepyszne postacie! Krępi, muskularni, o czarnych, bystrych, zawadjackich oczach, twarzach oliwkowych lub brązowych, siedzieli, jak przykuci do zwinnych wierzchowców, posłusznych najłżejszemu poruszeniu rąk żyłastych i twardych, lub stóp, uzbrojonych w wielkie ostrogi koleczaste.

Przez rozchełstane koszule flanelowe widać piersi, jak ze stali wykute; za wełnianymi pasami sterczą ztyłu noże w pochwach skórzanych; na zadach koni spoczywają zwinięte i do chwytu gotowe mordercze *lassa*.

Rozbiegło się po pampie stado, a za niem pomknęli *vaqueros*.

Głuchym tupotem rozbrzmiewa pampa; gwiżdżą *lassa* w powietrzu nad głowami rozproszonych jeźdźców, spadając co chwila na karki lub rogi uciekającego we wszystkich kierunkach stada; konie stają dęba, zawracając w szalonym pędzie na miejscu, grzmią okrzyki, nawoływania, przekleństwa; mięśnie ramion i tułowia prężą się, ściągając *lassa*; płatami śnieżnymi spada piana z parsających i rżących

pysków końskich; strzemiona trzeszczą pod naporem stóp jeźdźców, bo schwyte sztuki opierają się wysiłkiem rozpaczliwym w szale przerażenia, ryją ziemię racicami, przysiadają na zadach, wyrzucają z piersi ryczenia ponure.

Ale oto praca skończona.

Wybrane sztuki pędzą przez pampę i drogę leśną, gromadą zbitą. Teraz już konie same, bez nakazu ze strony jeźdźców, pełnią obowiązki stróżów porządku, jak psy owczarskie.

Uderzają bokami wrywające się z gromady sztuki, zajeżdżają im pełnym galopem drogę, wierzgają, bijąc kopytami. Nareszcie gromada, kłębiąca się jak olbrzymie cielsko stubarwnego węża, wpada w otwarte wrota *corralonu* (ogrodzenia). Zapadają wrota, uwięzione bydło biega wkoło w ciasnym obrębie, zamykającego mu raz na zawsze życie wolne, wysokiego płotu, ze zziębionych koni zeskakują vaqueros. Pot spływa im po twarzach ogorzałych, szybko dyszą szerokie piersi, drżą od wysiłku muskularne nogi. Pomimo to słyszeć śmiechy i żarty. Długie ostrogi brzęczą, wlokąc się po murawie, kieliszek krąży z rąk do rąk.

Ogromna, krwawa tarcza słoneczna kryje się szybko za czarną krawędzią lasów, gwar rozmów cichnie, ludzie padają na ziemię, u ogniska woda syczy w imbrykach. Przyroda zasypia i ludzie pochylają senne głowy. Gwarzą jeszcze, ale szeptem, półsłówkami. Czasem tylko przerwie ciszę wieczorną parsknięcie konia, lub ryk żałosny uwięzionego wołu.

Noc nadeszła.

Choć brałem tylko pośredni udział w ciężkiej

pracy dziennej tych istnych centaurów stepowych, to jednak podniecenie, wywołane widokiem ich herkulesowych zapasów z rozszalałem stadem, tudzież kilkogodzinna jazda konna, zmogły mnie tak, że zaledwie dotknąłem głową poduszki, sen zawarł mi powieki.

Zbudziło mnie silne szarpnięcie.

Dzień już był, a nade mną stał nachylony major-domo, don Esteban.

— Co się stało? — spytałem senny.

— Ciekawa nowina! — odparł, uśmiechnięty. — Wczoraj rozmawialiśmy o tygrysach, a dzisiaj mamy już tygrysa! Widocznie wygadaliśmy go sobie. Nade dniem porwał cielę ze stada. Mulat Ramon, starszy vaquero, ruszył już z psami za śladem. Niech się pan śpieszy. Pojedziemy także.

Oczywiście, nie dałem się prosić, a w kilka chwil potem siedziałem już na koniu.

Rozdział VII.

Polowanie z lassem na jaguara. — Puerto Casado. — Fabryka garbnika. — Plaga krain podzwrotnikowych. — Swoi na obczyźnie.

Błękit i świeżość uchodzącej nocy przesiąkały jeszcze powietrze. Mgły siwe snuły się nad rzeką, rozścielały płatami na murawie, wychylały z głębin puszczy. Konie parskały rzeško, zginając karki łukiem. Gwizd jakiegoś ptaka rozlegał się w gęstwinie. Na drodze leśnej panowała cisza, z ostępów wiało wilgotnym chłodem.

Wielką, jasno-zieloną plamą, przysłoniętą mgłami jak muślinem, rozwinęła się przed nami pampa. W tej

chwili pierwsze promienie słońca trysnęły z za lasów, wchłonęły mgłę i odkryły widok malowniczy: Zdala, wprost przed nami, migały wśród trawy pochylone sylwetki gromady jeźdźców, we wszystkie zaś strony pędziło rozbite stado bydła, zadarłszy łby i ogony. Step dudnił od głuchego tupotu racie, któremu towarzyszyło dalekie naszczekiwanie psów, goniących po śladzie, jak cicha skarga.

Popędziliśmy konie, bo gromada jeźdźców oddalała się coraz bardziej. Zanim wszakże zdołaliśmy się z nią połączyć, psy zagrały zajadle, chrapliwie wrzaskiem podniecenia, a gromada jeźdźców rozprysła się na cząstki, zajeżdżając półkolem ku sterczącej wśród stepu grupie palm pindo (*Cocos australis*).

Serce zabiło mi gwałtownie. Lewą ręką ściągnąłem lejce pędzącego konia, prawą ścisnąłem mocniej leżący na łuku siodła karabin Marlina.

Słońce wyjaskrawiło już całą pampe. Wśród traw, pałających krwawym jego odbłyśkiem, buszowali półdziecy vaqueros. Zdawało mi się, że słyszę szybkie ich oddechy, że widzę rozszerzone źrenice, drgające nozdrza.

Każdy trzymał już w prawej, zlekka wzniesionej ręce gotową do rzutu broń ulubioną i straszną: długie, ze skóry końskiej splecione lasso.

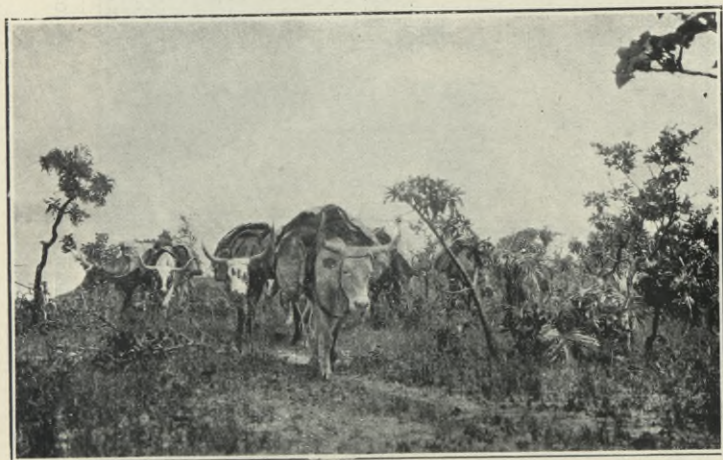
Psy osadziły jaguara.

Coraz zajadlej, coraz niecierpliwiej brzmi ich ujadanie. Kiedy niekiedy przycicha nagle, a wówczas słyszać pomruk zły, rżący.

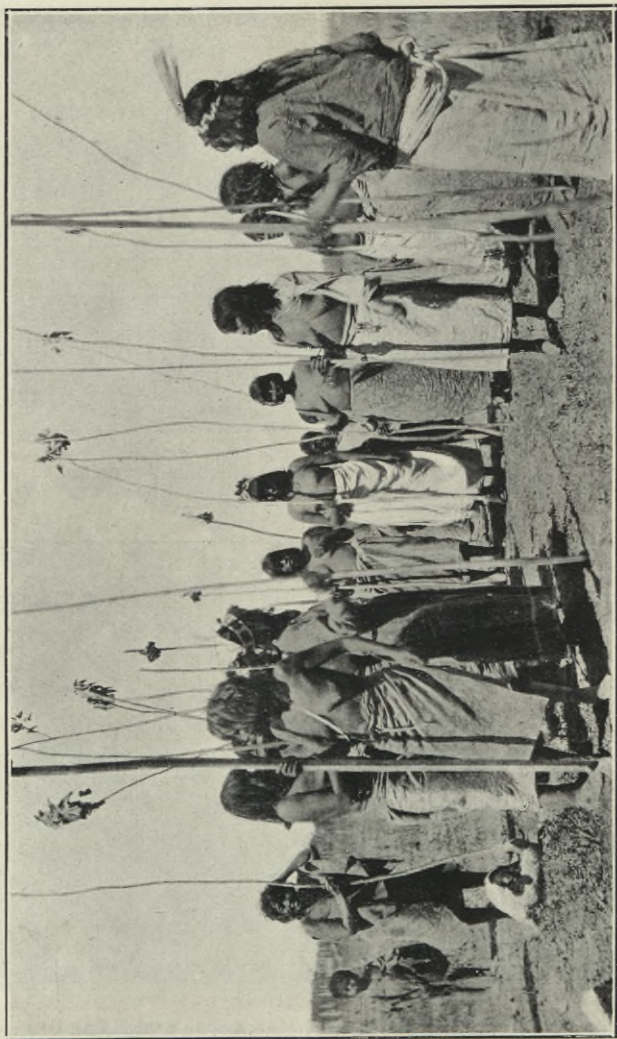
Nie widząc psów, ani też zwierza, uniosłem się na strzemionach i utkwilem chciwie oczy w kępie palm, ale w tejże niemal chwili rozległ się wizg przeraźliwy



6. Sprzedawca węgla drzewnego na ulicach Asuncion.



7. Karawana wołów, objuczonych herbatą „yerba maté“, na drodze paragwajskiej.



8. Indjanki szczepu Lengua gotowe do tańca o worek pomarańcz.

psów, zatrzeszczały krzaki i rude, centkowane ciało mignęło w powietrzu.

Na ten widok, konie nasze, rzuciwszy się wbok, pomknęły z kopyta. Karabin wypadł mi z ręki, a ja omal nie poszedłem w jego ślady. Utrzymałem się jednak na siodle, a nawet wysiłkiem rozpaczliwym zwróciłem konia w stronę, skąd dochodziły krzyki.

Jaguar sadził wielkimi susami ku pobliskiemu lasowi, goniony przez ujadające psy i wrzeszczących jeźdźców.

Przodował im mulat Ramon.

Bez kapelusza, z rozwianą na szyi czerwoną chustką, pochylony na siodle, jak przyrosły do konia, pędzi, zataczając prawą ręką, wzniesioną nad głową, wielkie, szybkie koła, zwinętem w pętlicę lassem.

— *Vivo, vivo!* — podniecają go towarzysze.

— *Vivo, vivo!* — i ja im wtóruję, rozgorączkowany widokiem, drżący z niecierpliwości, podążając za nimi.

Już, już jaguar dopada lasu; już psy ochryplę, zziajane, od których zwierz odsadził się daleko, ujadają coraz ciszej; już zdaje się, że ta pogoń zacięta skończy się na niczem — gdy nagle widzę, jak lasso, wypuszczone z ręki wciąż przodującego wszystkim Ramona, wyciąga się w powietrzu w długą, prostą, śmigłą linję i zapada w trawę...

Chwili tej zapomnieć niepodobna.

Ręką wprawniejszą, niż ręka najzręczniejszego cyrkowca, ściągnięty rumak mulata staje dęba, robi zwrot, opada i w tejże chwili już mknie wbok całym pędem.

— Schwytał, czy nie schwytał? — wiruje mi w mózgu pytanie.

Schwytał, bo oto pochyłony naprzód, zgięty w pałąk, wyciągnął wtył prawicę i podtrzymuje nią wyprężone, jak struna, lasso.

Cała pampa rozbrzmiewa okrzykami radości.

— *Muy bien, bueno, bravo Ramon!* * — wołają za pędzącym towarzysze mulata, stając w strzemionach i wymachując kapeluszami.

Ale pędzący jeździec nie słyszy okrzyków. Wciąż pochyłony, wciąż ciągnąc za sobą lasso wyprężone, mknie dalej i dalej. Już tylko sylwetka jego ciemna widnieje nad morzem traw stepowych.

Nareszcie skręca, zatacza łuk, sunie równoległe do nas. Jeszcze raz skręca i oto pędzi już wprost ku nam. Uniósł się na siodle, wywija ręką. Promienie słońca padają mu na twarz. Już rozróżniamy chustkę czerwoną na szyi, już widzimy szarą koszulę. Podjeżdża, wstrzymuje wierzchowca. Koń spieniony, zziębnięty, drży całym ciałem.

Zeskakujemy z koni, prychających i cofających się trwożnie.

Zduszone pętlą lassa, krwawe, poszarpane przez ostre trawy i trzciny, leży przed nami cielsko jaguara.

Samiec, młody jeszcze, przed kilku godzinami król lasów paragwajskich, teraz — kawał ściierwa.

Skóra nawet nie jest warta, pościerała się bowiem zanadto, gdy jej właściciel wleczony był całym pędem konia po pampie. Ramon przeto zastrzega sobie tylko posiadanie kłów, jako amuletu niezawodnego od fe-

* Bardzo dobrze, dobrze, brawo Ramon.

bry, a na moją osobę przypada para pazurów, na pamiątkę tego niezwykłego polowania.

Po południu pożegnaliśmy don Estebana i jego dzielnych vaqueros.

„Manuel Melina” ruszył zpowrotem wdół rzeki, holując u boków krypy, obie naładowane teraz byłem stepowem, i wkrótce dachy estancji Riso znikły nam z przed oczu.

Upłynąwszy kilka mil, parowiec zatrzymał się u przystani osady Puerto Casado, która powstała dzięki fabryce garbnika, założonej tam przez konsorcjum kapitalistów francuskich.

Garbnika dostarcza znane drzewo garbnikowe, *Quebracho colorado* (*Schinopsis Lorentzii* Engl., *Loxopterygium Lorentzii* Grisel), rosnące obficie w Argentynie północnej, Paragwaju i Brazylii. Często jeszcze pnie tego drzewa, zgruba ociosane, dostają się do garbarń europejskich, zawierają bowiem od 15 do 20% garbnika.

Z założeniem wszakże fabryki w Puerto Casado, wywóz pni *Quebracho colorado* z Paragwaju zmniejszył się, gdyż fabryka dostarcza wyciągu z tego drzewa, pod postacią masy, podobnej z wyglądu do kleju stolarskiego, co wygodniejsze jest i tańsze, niż przewóz pni nader ciężkich.

Uradowany naszą wizytą, bo nie widuje czasem całemi tygodniami gości z poza osady, dyrektor fabryki przyjął nas z otwartemi rękoma.

Zasiadłszy na obszernej werandzie jego willi, gawędziliśmy wesoło. Przed nami rozpościerał się widok prześliczny na rzekę, lasy i wychylające się z poza nich wzgórza Cerros Morados.

Przy krajobrazie tym brak roślinności dokoła willi dyrektora raził niemile.

— Jakże pięknie — zauważyłem — wyglądałaby ta weranda, gdyby otaczały ją rośliny pnące.

— Istotnie — odparł dyrektor — ale w tych krainach gorących estetyka musi ustępować niejednokrotnie miejscom względom praktycznym. Dom ten już otaczała latorośl winna, ozdoba ta wszakże ułatwiała dostęp gościom nieproszonym — węzom. Raz nawet gość taki rzucił się z gęstwiny liści na mą córeczkę. Na szczęście, bez skutku. Zabiłem gada. Zdarzenie to jednak wystarczyło, abym kazał wyrębać latorośl winną dokoła domu. Wprawdzie zbywa mi od tego czasu na miłym cieniu i chłodzie, ale zato jestem spokojniejszy, że żonie mej i dziecku nie przytrafi się już coś podobnego. Wszak i bez tego nie można uskarżać się na brak tutaj robactwa, w porównaniu z którym nasze robactwo europejskie jest niczem.

I rzeczywiście, prawdziwą plagą tych czarodziej-skich krain podzwrotnikowych są stworzenia, istniejące chyba jedynie na udrękę rodu ludzkiego.

Moskity (komary), tnące nawet przez ubranie; muszki maleńkie, również zjadliwe, a przedostające się do człowieka przez najgęstszy choćby muślin, mający ochraniać posłanie przed ich natarciem; kleszcze (*carapatas*), przyczepiające się do ciała; pchły ziemne (*Rhynchoprion dermatophylus*), składające jajeczka pod paznokciami nóg człowieka i wytwarzające przez to bolesne owrzodzenia; mrówki czarne, czerwone i białe (termity), których praca niszczytel-ska doprowadza do tego, że całe okolice stają się pustynią martwą, podobną do usianego mogiłami, ol-

brzymiego cmentarzyska; pająki jadowite, jak ogromny ptasznik (*Mygale avicularia*); skorpiony i wreszcie, dla człowieka najniebezpieczniejsze z tych tworów: węże jadowite.

Nadzwyczaj hojnie uposażyła przyroda Amerykę Południową w te gady.

Tak rodzina węzowatych (*Colubridae*), których najbardziej w Starym świecie znanymi przedstawicielami są: straszna kobra, okularnik indyjski (*Naja tripudians*) i bliski jego krewniak afrykański, wąż Kleopatry, *uraeus*, czczony przez dawnych Egipcjan i widniejący na mitrach faraonów, jako godło Egiptu dolnego, (*Naja haje*), tudzież jej odmiana, naja czarnoszyjna (*Naja nigricollis*), zwana także przez Boerów wężem plującym (*Spy slange*), gdyż zaskoczona pluje jadem na odległość kilku kroków — jak i rodzina żmijowatych (*Viperidae*), odznaczająca się, jak nasza żmija, łbem trójkątnym, szerszym od szyi — posiadają tu liczne latorośle.

Największe z nich: wąż lancetowaty (*Bothrops lanceolatus*), żyjący też na Antylach francuskich, gdzie nazywają go „Fer de Lance”, oraz surukuku (*Lachesis muta*), bardzo podobny do grzechotnika, ale nie posiadający grzechotek, dochodzą do trzech metrów długości, są jednocześnie najzłośliwsze. Nie ustępują z drogi człowiekowi, podchodzącemu niebacznie do ich legowisk, a nawet pierwszy z nich, rozdrażniony, goni uciekającego.

Nie o wiele mniejsze od nich grzechotniki, których istnieje kilka odmian, (*Crotalus horridus*), choć niemniej jadowite, unikają przynajmniej człowieka, a w każdym razie dają znać o swej obecności szele-

stem grzechotek, umieszczonych na końcu ogona, i tylko zaskoczony znienacka lub mając odwrót odcięty, uderzają jadowitemi zębami.

Lancetowcem wszakże, spotykanym najczęściej i z tego względu najgroźniejszym, że zakrada się do domów, gdzie się kryje pod sprzętami, jak bengalski „krait” (*Bungarus coeruleus*), którego ofiarą pada najwięcej ludzi z pośród ukąszonych przez węże jadowite w Indiach wschodnich, jest niewątpliwie żararaka (*Bothrops brasiliensis*), gad bardzo jadowity, którego trucizna, nawet w razie szybkiego ratunku, wywołuje przez czas długi różne dolegliwości w organizmie ludzkim. Bliski krewniak żararaki — labarja (*Bothrops atrox*), złośliwy i napastliwy, tudzież z pozoru niewinny, piękny wąż koralowy (*Elaps fulvius*), zamieszkują przeważnie wilgotne gąszcze leśne, a biada człowiekowi, który, zwłaszcza do pierwszego z nich, zbliży się niebacznie.

Dyrektor fabryki w Puerto Casado, opowiadając o wężu, który rzucił się na jego córeczkę, nadmienił, że wąż ten był jaskrawo zielony, musiał to więc być niezmiernie jadowity wąż drzewny, o ogonie chwytym, spokrewniony z indyjskim *Lachesis viridis*, posiadającym również skórę pięknej barwy szmaragdowej, i wskutek tego niewidocznym wśród liści.

W Paragwaju, oprócz pospolitych w Brazylii południowej, a wspomnianych powyżej: żararaki, labarji i grzechotnika, spotkać jeszcze można bardzo zjadliwą żmiję krzyżową (*Trigonocephalus alternatus*), a jeżeli się zważy, że obrzydliwe te gady wydają na świat potomstwo tuzinami i że to potomstwo już w kilkanaście minut po opuszczeniu łona matczynego

może rzucać się na zdobycz, zabijać jadem swym małe ssaki, jak myszy leśne, to łatwo pojąć, jak trzeba być ostrożnym i zawsze przygotowanym na możliwość spotkania się z nimi przy zwiedzaniu okolic, zwłaszcza niezamieszkanym w tych pięknych krajinach pod i międzyzwrotnikowych.

Ukąszenie, zadane przez każdego z tych gadów dorosłych, może bardzo szybko zabić człowieka w razie niezastosowania natychmiast środków zaradczych. Indianie posiadają podobno kilka środków takich, które mają być skuteczne. Zapewne jednym z nich są korzenie roślin z rodziny kokornakowatych: *Aristolochia cymbifera*, *A. serpentaria* lub *A. reticulata*, o własnościach silnie podniecających, potnych i moczopędnych. Innym ma być, jak słyszałem, żółć zabitego węża, który ranę zadał. Wśród białych natomiast praktykuje się, po silnem przewiązaniu miejsca ukąszonego powyżej rany, wypalanie rozszerzonej rany lapisem, głęboko w nią wpuszczonym, co niszczy trujące proteidy (ciałka białkowe) jadu wężowego, albo też zastrzykiwanie dokoła rany roztworu hypermanganatu potasu, strącającego szybko te proteidy i czyniącego je nierozpuszczalnemi.

Ostatniemi czasy rozpowszechniło się bardzo używanie, dla zapobiegania strasznym skutkom ukąszeń przez węże jadowite, surowic, otrzymywanych ze zwierząt immunizowanych przez stopniowe zastrzykiwanie im coraz silniejszych dawek jadu wężowego, w słynnem już i poza granicami Brazylii serpentarium d-ra Vitala Brazila pod Sao Paulo.* Działanie

* Serpentarja takie powstały już także w Natalu i w Sjamie.

tych surowic ma być zupełnie pewne, jedyną zaś niedogodność ich stanowiło z początku to, że każda surowica przeciwdziałała tylko skutkom ukąszenia przez ten gatunek węża, którego jadu użyto do jej sporządzenia. Obecnie jednak Instytut dra Brazila sporządza też surowicę mieszaną, której się używa w razie nierozpoznania sprawcy ukąszenia.

W naszej literaturze podróźniczej spotkałem tyle powierzchownych, a nawet wprost bałamutnych wiadomości o wężach jadowitych, że chyba czytelnik mi wybaczy poświęcenie tak obszernego ustępu temu przedmiotowi. Wobec wciąż wzrastającej liczby naszych podróźnych, może te notatki nie będą zbyt cennym balastem.

*

Uprzejmy dyrektor oprowadził nas po swej fabryce.

W obszernym budynku, przesyconym ostrą, aromatyczną wonią świeżych trocin quebrachowych, pełnym turkotu i warkotu maszyn, ciężkie, ciemno-czerwone pnie drzew, układane na długich korytach żelaznych i podsuwane przez robotników ku obracającym się z szybkością ogromną walcom stalowym, pokarbowanym w lśniące ostre kanty, topniały szybko, zamieniając się w stosy wilgotnych trocin. Przenieszone do przyrządów destylacyjnych, trociny te wydzielają ciecz gęstą i lepłą, barwy ciemno-brunatnej, którą rozlewano do drewnianych pudełek kwadratowych, gdzie zastygała, twardniejąc. I powstawał w ten sposób gotowy już do wysłania za ocean, zamiast pni ciężkich, wyciąg quebracho, tak pożądanym dla garbarzy.

Podczas zwiedzania fabryki zauważyłem, że robotnicy rozmawiają pomiędzy sobą w języku Guarani i że dyrektor odzywa się do nich w tym samym języku, a *capataz* (przodownik, starszy robotnik), opowiadając nam o wyrobie ekstraktu, używa języka hiszpańskiego, choć słyszy, iż rozmawiamy po francusku.

To mnie zastanowiło, w drodze więc powrotnej z fabryki do parowca, spytałem dyrektora, czy w tej fabryce francuskiej niema, prócz niego, Francuzów?

W odpowiedzi machnął ręką i zawołał żywo:

— Byli! Miałem współpracowników rodaków i takich, których przysyłano mi z rekomendacjami, i takich również, co sami przywędrowali aż tutaj w poszukiwaniu szczęścia. I cóż? Pierwsi wymagali względów specjalnych na mocy posiadanych rekomendacyj, drudzy ze względu na to, że są — moimi rodakami!

Zamilkł na chwilę, poczem wzruszył ramionami i rzekł z uśmiechem gorzkim na ustach:

— Obrażali się, gdym wymagał od nich pracy takiej, jak od innych współpracowników, uskarżali się na klimat, pożywienie, brak rozrywek. A choć byli to przeważnie ludzie inteligentni, to jednak stopniowo każdy z nich stawał się moim wrogiem. Jeżeli miał znajomych w zarządzie towarzystwa naszego, to pisywał listy, krytykujące działalność moją, dowodzące, że jestem złodziejem i skończonym osłem. Jeżeli nie, to intrygowali na miejscu, buntując innych.

— *Que voulez vous* — dodał z rezygnacją. — Tak bywa na obczyźnie! Opuszczają kraj ludzie zniechęceni do otoczenia, często wyobrażający sobie, że ojczyzna nie umie ocenić ich zdolności i zapału, nie ma-

jący przytem pojęcia o pracy ciężkiej, ani też chęci do niej, a którym się zdaje, że Ameryka ich potrzebuje, że dojdą tu łatwo do stanowisk lub szczęśliwym trafem zdobędą kopalnię złota. A może ja tylko na takich trafiłem?... Dość, że nie chcąc dopuścić do upadku fabryki, stworzonej wielkim wysiłkiem, i pragnąc mieć spokój, musiałem pozbyć się wszystkich. Wkońcu pozostał mi jeden tylko, najwytrwalszy i najspokojniejszy. Mianowałem go capatazem. Lecz i on opuścił mnie po kilku miesiącach, gdyż nie smakowało mu — tutejsze wino!

Mimowoli roześmiałem się na te słowa.

Dyrektor spojrział na mnie wzrokiem pytającym.

— Niech się pan nie dziwi — odparłem szybko, dostrzegłszy to spojrzenie — memu śmiechowi. Przypomniał mi się epizod z mej własnej wędrówki: Swe-go czasu odwiedziłem gromadkę naszych chłopów, którzy, obalamuceni przez agentów, wyemigrowali do Brazylii, a nie znalazłszy tam bogactw obiecanych, dotarli aż do Argentyny. Wystaraliśmy się dla nich o pracę na wielkiej estancji w głębi prowincji Buenos Aires, gdzie potrzeba było rąk roboczych dla zaprowadzenia gospodarstwa mlecznego. Wynagrodzenie otrzymywali wcale znośne, a odżywiani byli tak, jak nigdy w kraju rodzinnym. Prawie codziennie bito dla nich wołu. Poza tem mogli dojść do gospodarstw własnych, gdyż estanciero dawał im ziemi, ileby tylko obrobić mogli. A jednak pouciekali stamtąd, bo praca wydawała się im za ciężka i tęskno im było do — chleba razowego, do którego przywykli byli w ojczyźnie.

— Ale przecież moi — zawołał na to dyrektor — zaliczali się, jak wspominałem, do inteligencji!

Westchnąłem tylko i skierowałem rozmowę na inny temat.

Purpurą zachodu płonęły wody rzeki, gdy parowiec odbijał od brzegu. I długo spoglądałem na niknącą wdali odosobnioną placówkę ducha przedsiębiorczości ludzkiej, która nasunęła mi tyle refleksyj.

Rozdział VIII.

Wycieczka w głąb kraju. — Częstochowa paragwajska. — Paraguari. — Paragwajski przemysł ludowy. — W Villa Rica. —
Przyjazd prezydenta.

Po powrocie do Asuncion, zastałem w hotelu, czekające tam na mnie już od kilku dni, zaproszenie ministra rolnictwa i kolonizacji do wzięcia udziału w wycieczce rządowej do otwartej właśnie w głębi kraju kolonji rolniczej Presidente Gonzales, ochrzczonej tak na cześć ówczesnego prezydenta Rzeczypospolitej Paragwajskiej.

Niestety, pociąg specjalny, wiozący prezydenta i uczestników wycieczki, opuścił stolicę dnia poprzedniego.

Dowiedziawszy się jednak, że wycieczka ma zatrzymywać się po drodze ze względu na przyjęcia urzędowe i że zapewne zdołam dopędzić ją w mieście Villa Rica, niebawem znalazłem się na dworcu kolejowym.

Godzina, oznaczona w rozkładzie jazdy, dawno minęła, ale pociąg ruszać nie myślał. Zainterpelowałem tedy konduktora.

— Poczekamy jeszcze „*un momencito*”.* Może kto nadejdzie! — odparł najspokojniej w świecie.

Wreszcie, gdy wyglądający przez okienko kasowe kasjer przekonał się naocznie, że nikt już nie podąża ulicą w stronę dworca, konduktor skręcił papierosa, zapalił go, puścił kłąb dymu i machnął flegmatycznie ręką.

Maszyna gwizdnęła, jakby otrząsając się z drzemki, i ruszyliśmy truchcikiem, bo chyba tylko Europejczyk niezaaklimatyzowany, t. j. taki, którego organizm nie rozleniwił się jeszcze pod wpływem upału, śpieszy się w tych krainach podzwrotnikowych.

Powoli białe domki miasta zostają za nami, a bujna zieleń dziewiczych lasów roztacza się po obu stronach toru kolejowego. Kiedy niekiedy tylko półko uprawne lub obszerna polana, wysoką trawą porośnięta, przerywają tę jednostajną linię puszczy. Kiedy niekiedy jeno wychyli się z pośród drzew chata chróściana, a na jej progu gromadka całkiem nagich dzieciaków, o skórze brązowej, spogląda ciekawie na wlokący się pociąg.

Na każdej stacji maszyna odpoczywa, sapiąc, po kilkanaście minut, czego ostatecznie za złe jej poczytywać nie można, bo przynajmniej daje możliwość gromadom kobiet i ich potomstwu, rozłożonym pod okapami lichych budynków stacyjnych, utargować choć kilkadziesiąt centavos za cygara, wodę lub ciastka z miodem.

Minąwszy jezioro Ipacary, rozciągające się długim językiem po lewej stronie toru, przystajemy na

* Chwileczkę.

stacji Tacuaral, tak samo brudnej, jak inne, lecz odznaczającej się tem, że od niej prowadzi droga do Częstochowy paragwajskiej, miasteczka Caacupé z cudownym posągiem Matki Boskiej.

Rok rocznie tysiące ludu pielgrzymuje ze stron odległych do tego posągu. Paragwajczyk bowiem wierzy święcie, że Nuestra Senora de Caacupé poratuje go we wszelkiej przygodzie. A wiara czyni cuda. Pod opiekę więc swej Patronki świętej odaje się w każdym zmartwieniu, zaklina się Jej imieniem.

Gdy pociąg wyruszył z Tacuaral, konduktor zawiadomił podróżnych, drzemiących wśród pyłu i gorąca na twardych i brudnych ławkach wagonowych, że zbliżamy się do stacji Paraguari, gdzie pociąg odpocznie pół godziny.

— Ha — myślę sobie — jeżeli na wszystkich stacjach poprzednich zatrzymywaliśmy się po piętnaście, zamiast po pięć minut, i to bez zapowiadania, to chyba na stacji Paraguari postoiemy z półtorej godziny.

I widocznie robiłem już szybkie postępy w obliczaniu czasu po paragwajsku, bo omyliłem się tylko o kwadrans. W Paraguari staliśmy godzinę i piętnaście minut. Nie powiem jednak, abym czasu tego żałował.

Zaledwie przystanęliśmy, cały tłum kobiet i dzieciaków rzucił się z piskiem i wrzaskiem ku wagonom. Był to wszakże napad pokojowy. Nikt z nas nie sięgnął do kieszeni po rewolwer. Zato niemal każdy sięgał po chwili z własnej i nieprzymuszonej woli po pieniądze.

Istny jarmark, a przytem co za rozmaitość barw!

Brunatne i oliwkowe twarze o wielkich, czarnych oczach, proszących lub roziskrzonych targiem, białe manty kobiet, jaskrawe poncha mężczyzn, stopy owoców wzdłuż ścian igrają barwami gorącymi. Tu i owdzie parasolki podróżniczek europejskich migocą, jak motyle, a fioletowe cienie ścielą się zarysami ostremi na żółtym, rozpalonym piasku peronu.

Jedne z kobiet ofiarują koszule z wyszywanymi karczками i szlaczkami, inne — koronki delikatne o prześlicznych, oryginalnych deseniach, jeszcze inne — chusty samodzielne, cygara własnej roboty, miód, kukurydzę gotowaną czy prażoną, ciastka, lemoniadę, kawony, winogrona, pomarańcze, papugi i małpy, a wszystkie krzyczą, uwijają się, targują zawzięcie, aby wyzyskać jak najkorzystniej czas postoju pociągu.

A kupujących nie brak, bo rzeczywiście wiele z wyrobów paragwajskiego przemysłu ludowego wprost przyciąga oczy.

Zwłaszcza koronki, zwane z powodu cienkości swej *niandutie* (pajęczyna), a wyrabiane z włókien pnącza *caraguatay*, nie ustępują najbardziej cenionym koronkom europejskim, tak pod względem smaku, jak i wykończenia. Dalej tkaniny także z włókien pnączy, tak cienkie i białe, jak batyst najlepszy, szale, które, zwinąwszy, w kieszeni schować można, hamaki wzorzyste, o mocy żelaza.

Wyrób każdego z tych przedmiotów wymaga tygodni i miesięcy pracy, ale cóż z czasem robić na *campie* (wsi) paragwajskiej, skoro wystarcza byle jaki dach nad głową, ziemia i lasy dają dosyć owoców, a potrzeby są małe?

To też cena tych wyrobów wydaje się wprost śmiesznie mała Europejczykowi, obliczającemu czas na minuty.

Dużo, dużo banknotów paragwajskich przeszło w ciągu tych pięciu kwadransów postoju na stacji Paraguari, z kieszeni podróżnych do rąk przygodnych kupcowych. Jeden tylko obiekt nie znalazł nabywcy, choć zaledwie zdołałem precyzyjnie się przez tłum pochylony nad nim, aby go obejrzeć i choć, doprawdy, był bardzo egzotyczny!

Na piasku peronu stała, zbita z mocnych bierwion, klatka, a w niej widniał, szczerząc kły i spoglądając złym wzrokiem na tłum ciekawych podróżnych, młody jaguar. Schwytano go w lasach okolicznych w pułapkę, zwykle tu używaną. Mianowicie, w klatkę podwójną, sporządzoną z drzewa, do której jednego przedziału wsadzony jest pies na przynętę. Gdy jaguar wskoczy do otwartej klatki, zapadają się za nim ciężkie drzwi, ale pies, oddzielony kratą od schwytanego drapieżcy, unika śmierci, choć nałyka się niemało strachu.

I patrzył złem okiem schwytany w ten sposób jaguar na tłum gapiów, lecz nie było amatora na dzikiego jegomościa, którego nie sposób oswoić.

Gdy więc nareszcie pan konduktor raczył dać sygnał do odjazdu, a maszynista puścić w ruch ospałą maszynę, niska, drewniana klatka z „psiemi mięsem” (*yaguarete*),* jak Indjanie Guarani nazywają ja-

* Nie od tego wszakże wyrazu pochodzi nazwa jaguar, nadana tygrysowi amerykańskiemu (*Felis onca*), lecz od wyrazu w języku Quichua: *chaguar*, co znaczy: krew, zwierzę krwiożercze. Ponieważ w języku hiszpańskim głoska *j* wymawia się jak

guara, była ostatnim przedmiotem, który dojrzałem jeszcze na opustoszałym peronie stacji Paraguari. I znów sunęliśmy wśród lasów, stepów i zrzadka uprawnych poletek, a właśnie nabyta, mała, szmaragdowo-zielona papużka z rodzaju *Psittaculæ*, siedząc na mem ramieniu, powtarzała mi do ucha w takt stukotu kół pociągu: *Cotorrita, pobrecita! Cotorrita, pobrecita!* (Papużka, biedaczka! Papużka, biedaczka).

Miałem temat do rozmyślań: Dziki zwierz, obezwładniony w klatce i to maleństwo gadające, z podciętemi skrzydłami.

Ale wkrótce zabielało przed nami miasto Villa Rica, stolica środkowego Paragwaju.

Sądziłem, że ten ośrodek handlu herbatą paragwajską i tytuniem ogromnej połaci kraju, będzie miał wygląd okazały. Tymczasem nie różni się niczem od innych miast Ameryki Południowej.

Te same ulice szerokie, niebrukowane, przecinające się pod kątem prostym, z szeregi domków parterowych, białych lub żółtych. Ten sam, pośrodku miasta, plac czworokątny ze skwerem, a przy nim ratusz, kościół, bliźniaczo podobny do wszystkich ko-

nasze ch, Hiszpanie więc, jako pierwsi badacze języków południowo-amerykańskich, zanotowali w swych słownikach języka Quichua wyraz chaguar tak, jak się pisze po hiszpańsku, a więc: jaguar, dodając uwagę, że wyraz ten oznacza też tygrysa. Taką to drogą nazwa jaguar dostała się do słownictwa zoologicznego.

Jak zaś pospolitem zwierzęciem był jaguar jeszcze na początku dziewiętnastego wieku, o tem świadczy Azara, który, w wydanym w Paryżu w 1809 r. opisie podróży swej po Ameryce Południowej, opowiada, że zabijano wówczas, na przestrzeni pomiędzy Montevideo a Santa-Fé, po 2.000 tych bestyj rocznie.

ściołów południowo-amerykańskich, biura rządowe i kilkanaście okazańszych domów arystokracji miejscowej.

Gdzie niedzie tylko popękane, rzeźbione słupy, podpierające dach wystający; wygięte u dołu brzuchato, artystycznie kute z żelaza kraty okienne, kołatki u drzwi od ulicy, lub balustrada *azotei* (dach płaski), wskazują, że miasto nie pierwszy dzień istnieje, że pamięta dawne czasy hiszpańskie.

Cicho tu i spokojnie. Czasem tylko rozlega się donośne skrzypienie kół niesmarowanych wielkiej arby, zaprzężonej w kilka jarzm wołów; czasem doleci z drzwi otwartych mijanego domu piosenka lub zadźwięczy gitara, a pośród zieleni lśniące winogron, figowców albo też platanów, ocieniających *patio* (podwórze), mignie barwny strzęp hamaku, niewidzialną ręką kołysanego.

Podróżny stąpa po ścieżkach trawą zarośniętych i dziwi się temu powolnemu, ospałemu tętnu życia ludzkiego wśród tego żywiołowego, dzikiego wprost pędu przyrody podzwrotnikowej ku słońcu. Chyba jedno uzupełnia, wywołuje drugie.

Czy jednak może to trwać jeszcze długo w naszym wieku pracy gorączkowej, współzawodnictwa i ciasnoty miejsca? Wszak do najcichszych zakątków kuli ziemskiej, gdzie przedtem nie znano bogactw wielkich, ale nie znano też biedy, wkracza Europejczyk, przesiąkły dymem fabryk i kurzem składów, rozdziera gąszcze lasów odwiecznych, wysadza w powietrze skały i góry, wali obuchem energii w ludy pierwotne, budzi w nich pożądania, których przedtem nie znały

i bez których się obchodziły, zmusza do pracy intensywnej.

Żegnaj słodkie próżnowanie!

Stałem w najlepszym, bo jedynym, hotelu miasta, i dobrze zrobiłem, że zaraz po przybyciu objąłem w posiadanie niewielki pokoik, zaledwie bowiem zdążyłem umyć się i skromny mój bagaż rozpakować, gdy nadeszła depesza, zwiastująca przybycie prezydenta republiki z rodziną i świtą i zamawiająca dla nich wszystkie pokoje w hotelu.

Właściciel hotelu, Francuz, podniecony tak rzadką sposobnością dobrego zarobku, wziął się z prawdziwie francuską gadatliwością do przyozdabiania domu, sprzątanania i kuchni, ja zaś ruszyłem na miasto.

Po powrocie, wieczorem, zastałem już hotel pełen gwaru i ruchu.

Wprost na południe ruszyliśmy nazajutrz, wczesnym rankiem, pociągiem specjalnym świeżo wybudowanej linii kolejowej.

Wszędzie krajobrazy dzikie, wszędzie pustka jeszcze. Gdzieś niedługo tylko kilku gauchów, do których dotarła widocznie wieść o przejeździe „*Carai guazu*” (wielki człowiek, prezydent), gapi się na pociąg wzrokiem wpołsennym.

Po trzech godzinach jazdy, stajemy u kresu podróży, na stacji Pirapó.

Mizerny budynek stacyjny przybrano na przyjęcie głowy państwa odświętnie wstęgami z liści i trójbarwnymi, czerwono-biało-niebieskimi flagami Paragwaju. Na peronie stanęli koloniści, przeważnie Włosi, pod przewodnictwem zarządu kolonji, tudzież gauchowie okoliczni w długich wełnianych ponchach.

Umyślnie sprowadzona z Asuncion orkiestra wojskowa gra najfałszywiej w świecie „Marsz weselny” Rossiniego, gdy pociąg staje na stacji. Szybko opróżniają się wagony. Po ceremonjach powitalnych, którym towarzyszył ciągły trzask t. zw. żabek i huk petard, co tu, jak zresztą w całej Ameryce Południowej, jest nieodzownym punktem programu każdej uroczystości, dążymy, przy dźwiękach hymnu paragwajskiego, do wielkiej szopy przewiewnej, zapełnionej szeregami suto zastawionych stołów.

Długo przeciągnął się bankiet na świeżem karczowisku, otoczonym zewsząd kręgiem lasów dziewiczych.

Już słońce dawno zaszło, już gwiazdy niezliczone okryły pyłem srebrnym ciemno-granatowe niebiosa, a jeszcze strzelały korki szampanek, jeszcze wznoszono toasty na cześć „*del grande é heroico pueblo Paraguayo*”.*

Z tajemniczych głębin leśnych wiało chłodem, gdy przy mdłym światelku latarki przewodnika ruszyłem ku wyznaczonej mi kwaterze.

Była to chata sklecona z chróstu, bez pułapu i podłogi, pokryta strzechą z liści palmowych. Widocznie służyła za skład, gdyż pełno w niej było skrzyń, beczek i rozmaitych narzędzi. Tapezan, zasłany grubo ostrem sianem i przykryty zgrzebnem prześcieradłem, miał mi służyć za poślanie.

Przewodnik postawił latarkę na pustej beczce obok tapezanu i wyszedł.

Zostałem sam. Latarka rzucała skąpe smugi świa-

* Wielki i bohaterski naród paragwajski.

tła na najbliższe zaledwie przedmioty. Papużka moja, usadowiona na krawędzi beczki, wtuliła łepkę w skrzydełka i zasnęła. Resztę chaty zaścielał gęsty mrok. Ze strzechy zwieszały się długie, szare pasma liści palmowych.

Za lada podmuchem nocnego wiatru, krążącego po chacie, płomyk świecy w latarce, kołysząc się, tworzył wśród tych suchych, zwieszonych liści długie, ruchome cienie i wciąż wyobrażałem sobie, że to węże zwieszają swe cielska wstrętne i lada chwila zsuną się na tapczan...

Z poza ścian chróścianych dolatywały z lasu beki kotów dzikich, pogwizdy ptaków nocnych lub żab skrzeki. Czasami jednak ustawało nagle wszystko, a wówczas zapadała cisza tak głęboka, że słyszałem każde uderzenie serca.

Rozdział IX.

Wyjcie. — Przygoda papużki. — Kolonja Presidente Gonzales. — „Co za barbarzyństwo!“ — U dra Ruiza Diaza. — Kassawa. — Odwet. — Tańce paragwajskie. — Tango Argentino.

Niebieskawe światło rodzącego się dnia zaglądało przez szpary w chróścianych ścianach mojej kwatery, gdym ocknął się ze snu ciężkiego na niewygodnem posłaniu.

Wyszedłem przed chatę. Ponad ziemią snuły się mgły białe, wilgotne. Widocznie spali jeszcze wszyscy po uczcie wczorajszej, bo cisza panowała dokoła. Tu i ówdzie z pośród płacht mgielnych wyłaniały się szare chaty kolonistów, żółtawe pnie drzew świętych, ciemne połacie karczowisk, z których unosiły się miej-

scami ku niebu białawe słupy dymu ze stosów gałęzi i pni, palonych dla oczyszczenia gruntu. Dalej, wokoło, ciemno-zielone ściany lasów, jakby zasnute lekkim muślinem niebieskim, zdawały się drzemać w orzeźwiającem powietrzu poranku.

Umywszy się w pobliskiej strudze, ruszyłem z karabinem w ręce i z moją papużką na ramieniu — bo gdzieżbym zostawił maleństwo — jak jaki Robinson, ku lasom.

Wnet otworzyła się przede mną t. zw. pikada, szeroki wyrąb, ciągnący się w linii prostej, jak oko sięgnąć mogło, a przecinający puszcę dla celów mierniczych.

Wśród pniaków, wykrotów, trzcin ostrych, traw i zarośli, co ze zwykłą w krainach gorących szybkością, zakrywały już ślady ręki ludzkiej, posuwałem się zwolna, upatrując napróżno żywego celu dla mego Marlina.

Mchy brodate, siwe lub szaro-zielone, zwieszały się łańchmanami z gałęzi, giętke pnące przewijały się, jak liny, po drzewach, opadały z nich festonami, a dziwnych kształtów storczyki wychylały oczy stubarwne z zieleni, lecz najmniejsza nawet ptaszyna nie przerwała ciszy piskiem lub skrzydeł szelestem.

Przeszedłem tak może ze trzy kilometry, gdy nagle stanąłem, jak wryty.

Głuchy, dudniący pomruk rozdarł ciszę.

— Jaguar! — przemknęła mi błyskawicą myśl przez głowę. Serce zabiło gwałtownie. Jeszcze chwila, a stanę oko w oko z królem złowrogim tych lasów.

Zdaje się, że każdy człowiek jest potrosze komejdantem i że u każdego w chwilach doniosłych życia

wyłania się z kłębu innych myśli, choćby przelotnie, myśl wzbudzenia podziwu, a jeżeli chwila jest smutna, to — współczucia.

— Co za szkoda — zaświtała mi, ni stąd, ni zowąd, choć serce uderzało młotem i wyteżałem wszystkie zmysły w oczekiwaniu groźnego przeciwnika, myśl taka — że nie mam aparatu fotograficznego. Mógłbym sfotografować jaguara, wychylającego się z puszczy i jakżebym był dumny!

W tejże chwili pomruk dudniący przeszedł w wycie głębokie, a tak dzikie, tak doniosłe, że wszystkie nerwy moje drgnęły, jak targnięte ręką niewidzialną. Ale — rzecz dziwna — wycie dochodziło z góry!

Szybko więc pobiegłem wzrokiem ku szczytom drzew. W pierwszej chwili nic nie dojrzałem. Wpatrzywszy się jednak uważniej w jasne przerwy wśród splotu konarów i gałęzi, dostrzegłem wkońcu niemal u wierzchołka jednego z drzew, w odległości kilkudziesięciu metrów, najpierw jedną, a następnie całą gromadę ciemnych sylwetek, usadowionych na gałęziach.

Odrazu pierzchnęło uczucie trwoźnego oczekiwania, odrazu przypomniałem sobie, że jaguar nigdy nie wyje, w ciemnych sylwetkach poznałem — małpy wyjce.

Zadarłszy czarne, brodate twarze, wyły jak opętane, głębokim, chrapliwym głosem. Choć dużo słyszałem o tych małpach i o dziwnym ich zwyczaju urządzania wczesnym rankiem i późnym wieczorem, a czasem i w nocy, takich szatańskich koncertów, rozpoczynanych zawsze przez największego i najstarszego samca, jakby dla poddania właściwego tonu całej gro-

madzie, to jednak nie przypuszczałem, aby zwierzę, nie przewyższające wzrostem niewielkiego psa, mogło istotnie wydawać głos tak przeraźliwy i potężny.

Niezwykłą tę, dudniącą w uszach moc swego głosu zawdzięczają wyjce, których istnieje kilka odmian w Ameryce Południowej, będącej wyłączną ich ojczyzną, (a między niemi i czarny wyjec paragwajski *Mycetes paraguayensis*, *Alouatta niger*, w języku guarani: *caraya-u* — małpa czarna), przyrządowi rezonansowemu, pod postacią worka, umieszczonego pod brodą i połączonego z tchawicą, a utworzonego przez przedłużenie kości językowej i rozszerzenie szczęk dolnych.

— A niech was nie znam! — zawołałem zły z doznanego zawodu, i wypaliłem w stronę wyjącej hałustry, nie mierząc, gdyż wiedziałem, że postrzelony śmiertelnie wyjec często czepia się niezmiernie chwytym ogonem tak kurczowo gałęzi, że zwisa z niej tylko, lecz nie spada na ziemię, a nie miałem zgoła chęci do karkołomnych wysiłków gimnastycznych dla zdobycia skóry tej małpy.

Wystraszona strzałem gromada znikła w okamgnieniu, przeskakując z prawdziwie małpią zwinnością z gałęzi na gałąź, ale jednocześnie znikła też moja papużka, sfrunąwszy mi z ramienia, również widocznie przerażona hukiem. Napociłem się porządnie, zanim odnalazłem ją, rozgarniając trawy i zarośla i pokaleczywszy sobie przytem boleśnie rękę o trzciny, jak nóż ostre i twarde. Usiłowania moje wszakże uwieńczył skutek pomyślny i gdy wreszcie spostrzegłem moją zgubę i wyciągnąłem do niej rękę, podbiegła do mnie szybko, schwyła pazurkami

za palec, poczem dopomagając sobie jeszcze zakrzywionym dzióbkiem, wspięła się po rękawie na dawne swe miejsce. Tu, trzepnąwszy podciętemi skrzydełkami, zaczęła powtarzać mi nad uchem, głosikiem podnieconym, snadź zasłyszany w domu poprzedniej swej właścicielki, od której ją kupiłem, rozkaz dziwaczny: *Corta la cola! Corta la cola!* (Utnij ogon! Utnij ogon!).

Wzbogacony zajściem z wyjcami i nowym numerem repertuaru mojej cotorrity, zawróciłem do kolonji, a wyszedłszy z lasu, zdała już ujrzałem prezydenta i całą jego świtę, wybierających się na obejrzenie kolonji pod kierownictwem jej dyrektora.

Wychyliwszy szybko szklankę wina i zakąsiwszy chlebem, podążyłem za nimi.

W równych odstępach widniały porządnie zbudowane domki kolonistów, tudzież wykarczowane już zupełnie i obwiedzione płotem drucianym pólka, na których zasadzono kukurydzę, trzcinę cukrową i tytuń.

Koloniści, świętujący z powodu przyjazdu głowy państwa, stali przed domkami wymyści, uczesani, w czystych koszulach i ubraniach, przyglądając się ciekawie przeciągającemu orszakowi i zdejmując przed nim, po europejsku, czapki.

Kolonja Presidente Gonzales leży niemal w środku Paragwaju, nad rzeką Pirapo, w departamencie Caazapá, i obejmuje 10.000 hektarów gruntu pagórkowatego, pod lasem dziewiczym. Całą jej przestrzeń podzielono na działki po 12 hektarów. Każda rodzina kolonistów otrzymała po dwa działki, t. j. po 24 hektary na spłatę dziesięcioletnią, po 2.66 pesos za hek-

tar rocznie lub po cenie 1.33 pesos gotówką. Dalej narzędzia rolnicze, krowę i jarzmo wołów po cenie kosztu, również na rozpłatę. Wreszcie przez pół roku od chwili osiedlenia się kolonisty, rząd wypłacał każdej osiedlonej rodzinie po 40 centavos (1 peso — 100 centavos) na osobę dorosłą i po 20 centavos na dziecko dziennie, w charakterze zapomogi na żywność.

Wzamian za to kolonista obowiązany był wykarczować i uprawić w ciągu dwóch lat od chwili osiedlenia się przynajmniej trzy hektary gruntu, w przeciwnym bowiem razie groziło mu wydalenie z kolonji, choć, prawdę powiedziawszy, rząd paragwajski jest co do tego bardzo względny.

Wogóle, o ile mogłem zauważyć, prawa tu rządzące są ludzkie, i koloniści nie podlegają tu nadużyciom takim, jakich ofiarami padali tak licznie, czasu owej pamiętnej „gorączki brazylijskiej”, przybyli do Brazylii, to też przeważnie zdawali się zadowoleni ze swego losu, choć pracę mają ciężką i żmudną.

W rozmowie z dyrektorem kolonji dowiedziałem się, że znajduje się tu również kilka rodzin polskich, przybyłych z Brazylii. Niestety, działki ich położone były w odległości kilku kilometrów od tej części kolonji, którą zwiedzaliśmy, nie mogłem zatem ich odwiedzić, spytałem więc tylko dyrektora, co sądzi o mych rodakach?

— Z początku — odpowiedział — mieliśmy z nimi trudności niemałe, gdyż przywędrowali, Bóg raczy wiedzieć jakimi drogami, piechotą z Brazylii, bardzo wyczerpani i przygnębieni, umiejąc zaledwie kilkanaście najniezbędniejszych wyrazów portugalskich. Ale osiedlili się tutaj, a dzisiaj dzieci ich mówią już

tak po hiszpańsku, że służą za pośredników pomiędzy nami a rodzicami. Dobrzy to ludzie, silni przytem i wytrwali, jak rzadko. Umieją budować chaty, karczować lasy, rznąć deski, uprawiać ziemię — słowem wszystko... Niech mi pan jednak powie — dodał, śmiejąc się — skąd pochodzi u nich ten zabawny zwyczaj schylania się do kolan i całowania po rękach?

Z trudnością zdołałem wytłumaczyć Paragwajczykowi, że to oznaka wdzięczności i szacunku, dość powszechna jeszcze wśród naszego ludu.

— *Qué barbaridad!* * — zawołał, kiwając głową, jakby z politowaniem.

Po południu opuściliśmy kolonję Presidente Gonzales, żegnani hukiem petard, dźwiękami orkiestry i wiwatami kolonistów.

Przenocowawszy w Villa Rica, miałem już ruszyć zwykłym pociągiem do Asuncion, gdy dowiedziałem się, że przyjaciel prezydenta, dr. Ruiz Diaz, zaprasza całe nasze towarzystwo do swej estancji na *asado con cuero* ** i *chipá*, smaczny chleb paragwajski, którego główną część składową tworzy manjok.

Chętnie przyjąłem zaproszenie, następczając mi sposobność zwiedzenia jeszcze kawałka tego ciekawego kraju i bliższego poznania życia jego mieszkańców, to też zamiast ruszyć do Asuncion, jak zamierzałem, znalazłem się z orszakiem prezydenta w pociągu specjalnym, do którego, dla większej widocznie okazałości, a może i bezpieczeństwa, wpakowano jeszcze

* Co za barbarzyństwo!

** Wołowina ze skórą, upieczona na rozżarzonych węglach.

eskortę wojskową w mundurach paradnych, jak również całą orkiestrę pułkową.

Około południa pociąg stanął w szczerem polu.

Ludność estancji wyległa na nasze spotkanie. Kobiety w silnie krochmalonych, odstających szeroko spódnicach perkalowych, czarnych, kaszmirowych szalach i z nieodłącznymi wachlarzami w rękach, mężczyźni w nowych ponchach, barwnych chustkach na szyi i szerokich, czystych szarawarach, ale wszystko to — bosc.

Rojno i gwarno, poprzedzani przez grzmącą orkiestrę, ruszyliśmy pampą ku widniejącym zdala w grupie drzew budynkom estancji.

Dr. Ruiz Diaz przyjął gości swoich serdecznie, zapraszając gestem szerokim, niemal polskim, wprost do stojącej o kilkadziesiąt kroków od jego domu, szopy obszernej, zamienionej na jadalnię, obok której, na ciosanych z drzewa rożnach, wbitych pochyło w ziemię, dopiekały się przy stosach rozżarzonych węgla, ogromne zrazy pieczeni wołowych, roznosząc woń, zaostrzającą apetyty zgłodniałej rzeszy.

Radośnie uśmiechnięty gospodarz, podawszy ramię prezydentowej, poprowadził ją do stołu. Za tą parą sunął prezydent z panią domu, a za nimi długi szereg par innych. W jednej chwili zajęto wszystkie miejsca. Peoni,* wyjąwszy z za pasów długie noże, poćwiartowali pieczenie i roznosili na półmiskach dyjące mięsiwo.

Milczenie zapanowało w szopie, gdyż po kilkogodzinnej podróży apetyt dopisywał wszystkim. Zauwa-

* Peon — robotnik rolny, parobek, pionek w szachach, pacholek.

żyłem przytem, że choć i chipá miał wielką wziętość, to jednak tak do pieczeni, jako też do innych potraw dosypywano jeszcze ze stojących na stołach miseczek obficie białe, podobne do kaszy lub pokruszonego krochmalu, grudki manjoku, albo, jak tu i w Brazylii mówią, mandjoki. Znałem już ten specjał z Brazylii, niemniej spróbowałem go i tutaj, sądząc, że może tym razem doczuję się w nim smaku. Ale i teraz nie dosmakowałem się niczego. Widocznie jednak manjok i pod tą postacią musi być potrzebny organizmowi w tych krainach gorących, skoro ludzie jedzą go tak łapczywie.

Bo też istotnie wśród dobrodziejstw, jakimi przyroda obdarzyła człowieka, kassawa, manjok albo manihot, roślina z rodziny wileczomleczowatych, o korzeniach mączystych, sięgających 3 stóp długości, a 9 cali średnicy, zajmuje jedno z miejsc pierwszych, zwłaszcza w wilgotnych krainach podrównikowych, nie znających pszenicy lub żyta. Tam kassawa, nazwana przez pierwszych pisarzy hiszpańskich z XVI wieku, opisujących florę amerykańską, manihotem, tak bowiem mieli nazywać ją krajowcy, zastępuje zboże, dając mąkę bardzo pożywną.

Z dwóch gatunków najbardziej znanych, kassawy gorzkiej i słodkiej, pierwsza (*Manihot utilitissima*) jest właśnie owym manjokiem, używanym do pieczenia smacznego, pożywnego chleba, ciastek, i jako przyprawa do wszelkich zup i potraw. Wprawdzie w stanie surowym soczysty jej korzeń jest niezmiernie trujący, gdyż zawiera w znacznej ilości gwałtowną truciznę: kwas cjanowodorowy (kwas pruski), oczyszczony jednak i poddany działaniu gorąca, traci

własności trujące tak, że nawet odparowany sok służy do wyrobu sosów, a miąższ daje wspomnianą cenną mąkę.

Ze względu na swą użyteczność wprowadzona do Afryki podzwrotnikowej i na wyspy archipelagu Malajskiego, kassawa gorzka i tam przyjęła się szybko, przerobiona zaś odpowiednio dostaje się do nas pod postacią znanej powszechnie tapjoki.

Co się tyczy kassawy słodkiej (*Manihot aipi*), to korzeń jej jest i w stanie surowym zupełnie jadalny. Używa się go jako jarzyny lub też spożywa pieczony.

Nasyciwszy żołądki strawą solidną, zabrano się gorliwie do butelek, sownicie zdobiących stoły. Rozwiązały się języki i gdy na dworze pękały t. zw. żabki i syczały, wzlatując ku niebiosom, rakiety, w szopie sypały się toasty i mówki, jak z rękawa, dobry humor ogarnął wszystkich.

Pod wpływem widocznie tego dobrego humoru, niektórzy panowie z orszaku prezydenta zagarniali całemi garściami, z podawanych przez służbę pudełek, cygara i papierosy, wypychając niemi kieszenie.

Traf chciał, że dyrektor kolonji Presidente Gonzalez zajął obok mnie miejsce przy stole.

Gdym ujrzał rabowanie cygar i papierosów gościnnego dra Ruiza, przypomniało mi się nagle, jak mój sąsiad kiwał z politowaniem głową, dowiedziawszy się, że niektórzy chłopci nasi mają jeszcze zwyczaj całowania rąk i schylania się do kolan dla okazania wdzięczności swej lub szacunku. Zwróciłem się więc ku niemu i zawołałem zcicha, wskazując głową niegrzecznych gości:

— *Hombre, qué barbaridad!* *

Dyrektor uśmiechnął się zażenowany, ale nic nie odpowiedział. Zdaje się, że zrozumiał do czego piję.

Zaledwie wstaliśmy od stołu, gdy z kępy drzew rozległy się dźwięki orkiestry wojskowej.

Santa Fé, Santa Fé! — zabrzmiały okrzyki wesole i pośpieszono na majdan, gdzie rozpoczął się już *un baile campestre* (bal wioskowy).

Santa Fé, Santa Fé! — zabrzmiały okrzyki wznający kaczuczę, powolniejszy jednak, niż taniec hiszpański, choć niewątpliwie również rodem z Kastylii. Tancerze, prztykając palcami, co ma widocznie naśladować kastaniety, czynią *pas* pełne wdzięku i spokoju, okręcają się naokoło siebie, kroczą jedni za drugimi lub, ująwszy się pod ręce, spacerują wkoło parami.

Przyszła potem kolej na tańce już czysto Guarani, mianowicie, *Raidoterere* i *Mamacumandu*, w których, jak wogóle w tańcach ludów pierwotnych, chodzi raczej o wykazanie siły i wytrwałości, niż o ruchy fałiste, gładkie, nie rażące brutalnością, słowem o ruchy, zdaniem naszym, estetyczne. Przytupywanie, dreptanie, klaskanie w dłonie, wyginanie to rąk, to całego tułowia, przy muzyce dzikiej, wrzaskliwej, bez końca, do wyczerpania sił, oto ich treść, wprawdzie rażąca smak europejski, niemniej pociągająca oryginalnością, formą pierwotną, właśnie tym brakiem gładkości parkietowej.

Pomimo upału prawdziwie podzwrotnikowego, tańczono zawzięcie. Szeleściły spódnice krochmalone; w ciągłym ruchu były wachlarze, albo, jak je nazwały emigrantki nasze, „wiatracki”; powiewały poncha,

* Człowieku, co za barbarzyństwo!

migały bosc stopy, zaczerwienione twarze ociekały potem; ale przecież gość rzadki i dostojny, „Carai guazu”, przypatruje się tańcom, należy więc popisać się ucziwie.

Skończono *London carapé*, coś w rodzaju bostona, gdy ktoś zawołał:

— *Tango Argentino!*

Spocona, również w paradnych, szczelnie zapiętych mundurach, orkiestra wydeła policzki, popłynęły w przestrzeń dźwięki muzyki i posuwistemi ruchami zaczęły krążyć bosc stopy po murawie...

Nieprzyzwoitym, jak swego czasu habanera w Rio de Janeiro, wydał mi się ten taniec gauchów argentyńskich. Czym mógł nawet przypuszczać, że to tango, tańczone boscami stopami na majdanie estancji paragwajskiej, ujrzę znów, po latach, jako taniec modny, na posadzkach knajp i — salonów warszawskich?

A jednak doczekałem się tego.

Rozdział X.

Znów w pociągu. — Opowiadanie prezydenta. — W Asuncion. — Pesebres. — Żywe klejnoty. — Na pasterce. — Legenda donii Mercedes. — Wyjazd. — Rewolucyjka. — Zakończenie.

I znów jesteśmy w pociągu. Wesołość, wywołana przez doskonałe wina dra Ruiza Diaza, nie ustaje.

W wagonie salonowym prezydenta śmiechy, żarty, anegdotki.

Mijamy, nie zatrzymując się, stację Tacuaral. Ktoś wspomniał o Caacupé. I oto potoczyła się rozmowa na temat tego świętego miejsca.

Prezydent podnosi rękę na znak, że chce mówić. Wszyscy milkną.

— Byłem tam — rzece — podczas ostatniego odpustu i opowiem wam, co słyszałem z ust pewnego okolicznego *ranchera*.*

Przychodzi ten człowiek do kościoła i składa w mojej obecności, na ręce jednego z księży, pięćset pesów.

— Dla Naszej Paniienki — powiada — za uratowanie mi życia.

Zadziwiła mnie suma wysoka, jak na nasze stosunki, to też, zaciekawiony, pytam ofiarodawcę:

— Powiedz mi, *amigo*, jakim to cudem Nasza Paniienka uratowała ci życie, że składasz Jej tak znaczną ofiarę?

— A to takim, panie prezydencie: Przed miesiącem rąbałem drzewo w lesie, gdy nagle słyszę zły pomruk za sobą; obracam się i spostrzegam o kilka kroków gotującego się do skoku tygrysa. Siekiera wypadła mi z ręki, o ucieczce nie było mowy, rzucam się więc na ziemię i udaję nieżywego w nadziei, że w ten sposób ocaleję.

Ale tygrys już skoczył na mnie, przygniótł łapami i wreszcie, porwawszy za ramię, powlókł w gęstwinę.

Kły zwierza wpiły mi się w ciało głęboko, ostre trzciny i gałęzie krzaków raniły twarz i ręce, czułem w ramieniu ból okropny, milczałem jednak, zaciskając zęby. W głębi duszy jeno westchnąłem do Matki Bożej:

— Najświętsza Paniienko z Caacupé, wybaw mnie z tej opresji, a oddam Ci całą gotówkę!

W tej chwili usłyszałem ciche miauczenie. Bestja drgnęła, puściła me ramię i potężnym susem znikła w zaroślach.

* *Ranchero* — osadnik, zagrodnik.

Zrozumiałem, że się dostał w łapy tygryscy, karmiącej swój pomiot. Zaledwie znikła, zerwałem się na nogi. Tuż obok stało wysokie, cienkie drzewo. Pomimo dojmującego bólu w ramieniu, pomimo krwi ściekającej mi po twarzy i rękach, wspiąłem się na nie ze zwinnością kota. Strach dodał mi sił, rozpacz zręczności. Właśnie sięgałem pierwszych gałęzi, gdy tygrys powrócił do miejsca, w którym mnie był zostawił. Spostrzegłszy, że mnie niema, rozejrzał się dokoła, a usłyszawszy szelest, podniósł łeb, warknął wściekle, wpił pazury w drzewo i podążył za mną.

Czułem, że włosy powstają mi na głowie, strach mnie ogarnął śmiertelny, ale o Naszej Paniencie nie zapomniałem. Jeszcze raz tedy westchnąłem do Niej, a tygrys uchwycił już łapą za gałąź, na której stałem.

Jeszcze chwila a dosięgną mnie pazury zwierza. Ale Panienska Nasza nie dała mi zginąć. Objąłem pień rękoma, rozkraczyłem nogi i całym ciężarem ciała wstrząsnąłem gałęzią, poczem kopnąłem potwora, trafiając w ucho.

W pierwszej chwili sądziłem, że kość w nodze mi pękła i że zlecę z drzewa, tak mocno uderzyłem, zdołałem jednak jakoś utrzymać równowagę, tygrys natomiast, ogłuszony widocznie uderzeniem, puścił gałąź, runął wdół i legł bez ruchu na ziemi.

W mgnieniu oka zsunąłem się z drzewa i popędziłem, jak szalony, w stronę rancho. Dopiero na progu chaty opuściły mnie siły. Padłem bez zmysłów. Ale dzięki żonie i sąsiadom, po kilku tygodniach odzyskałem zdrowie i oto tu jestem, aby spłacić dług wdzięczności „*a Nuestra Seniora*.”*

* Naszej Pani.

— Nie chciało mi się wierzyć — kończył prezydent — temu opowiadaniu ranchera, i widocznie spostrzegł w oczach moich wyraz niedowierzania, bo pokazał mi świeżo zagojone rany na głowie, rękach i ramieniu.

Prezydent umilkł, a słuchacze spoglądali jeden na drugiego: Wierzyć, czy nie wierzyć?

— Włosi — pomyślałem sobie — powiadają w takich razach: Jeżeli nie prawdziwe, to w każdym razie dobre, no, i zapisałem opowiadanie tak, jak je słyszałem.

O godzinie siódmej wieczorem pociąg nasz, gwizdząc przeraźliwie i grząc muzyką całej orkiestry, wpadł na dworzec stolicy Paragwaju.

Podziękowawszy ministrowi kolonji za ciekawą wycieczkę, ruszyłem do hotelu w towarzystwie mojej maleńkiej niewolnicy, nerzekającej wciąż: *Cotorrita, pobrecita! Cotorrita, pobrecita!* — tem bardziej, że uwięziona była teraz w klateczce drewnianej, którą nabyłem od jednego z kolonistów.

*

Nazajutrz, zabrawszy się do pisania listów, spojrzałem na kalendarz: Dwudziesty czwarty grudnia, a zatem wigilja Bożego Narodzenia!

W jednej chwili myśl ma poszybowała na drugą półkulę: Biały całun śniegu, wiatr mroźny, brzęk dzwonekówek sanek, ożywienie i radość na twarzach, drzewko w morzu światła, zapach choiny.

A tutaj, w stolicy Paragwaju? Termometr wskazuje $+35^{\circ}\text{C}$ w cieniu, w kilku sklepach zabawki z fabryk niemieckich, i życie kroczy zwykłym torem.

Dopiero po sieście miasto zaczyna przybierać postać odświętną. Kobiety wyświeżone, w szeleszczących zdaleka spódnicach perkalowych, w szalach czarnych, zarzuconych na ramiona i z wachlarzami w dłoni. Mężczyźni wygoleni, umyjni, w nowych kapeluszach i ponchach, z jedwabnemi chustkami na szyjach. Dzieci uczesane, czyste, w jaskrawych sukienkach. O zmroku wszystkie sklepy zamknięte, prócz kawiarni. Gdziekolwiek rozlegają się dźwięki muzyki.

Zasiadłem nad wysoką szklanką lemonjady z lodem, w Café de Polo Norte,* której już sam szyld, przedstawiający białe niedźwiedzie, igrające wśród gór lodowych, sprawiał wrażenie prawdziwie chłodzące, gdy za plecami usłyszałem głos znajomy:

*Buenas noches, senior.***

Był to młody Paragwajczyk, którego poznałem na parowcu „San Martin” w czasie podróży do Asuncion.

— *Buenas noches* — odparłem.

— *Quiere ver pesebres?**** — spytał.

— *Pesebres*, co to takiego?

— Pokażę panu. To zwyczaj tutejszy. Bo zapewne pan nie wie, że dzisiaj w Paragwaju:

Es una noche de no dormir,

*Porqué la Virgen va parir.*****

— Jeżeli tak, to idę!

— Tu, w śródmieściu — mówił — niema czego szukać. Banki, sklepy, biura, składy i domy ludzi bo-

* Kawiarnia pod biegunem północnym.

** Dobry wieczór panu.

*** Chce pan zobaczyć pesebres?

**** Jest noc nie do spania,
Gdyż Dziewica porodzi.

gaty, spędzających święta w klimacie chłodniejszym. Pójdziemy w dzielnice odleglejsze, gdzie ludność zachowuje stary obyczaj.

Łatwo to było powiedzieć, ale trudniej wykonać, przynajmniej co się tyczy mojej osoby, gdyż na odleglejszych ulicach Asuncion latarnie i bruki są rzadkością.

Nieraz pośrodku ulicy ciągnie się parów piaszczysty, po bokach zaś wznoszą się chodniki tak wysokie, że wspinać się trzeba do nich po stopniach z desek, gładów lub pniaków. Nieraz też chodników brak zupełnie, brodzi się więc po kostki w piasku, albo idzie gęsiego po ścieżce wąziuchnej, zawadzając o pnie leżące wpoprzek ulicy, lub o korzenie drzew, rosnących za płotami. Dziw, żem podczas tej wędrówki w ciemnościach nóg sobie nie połamał.

Ujrzeliśmy okna jasno oświetlone.

— Zajrzymy do tego domu — rzekł mój przewodnik — to ludzie zamożni, pesebres będzie ładne.

— Dobrze, ale ja tych ludzi nie znam! — zawołałem.

— I ja ich nie znam. Dla obejrzenia pesebres znajomości nie potrzeba.

Weszliśmy.

Duży pokój, opróżniony z mebli, zamieniony był w gaj, pełen światła i zapachu odurzającego kwiatów.

Połowę gaju, po przekątnej, zajmowały jasełka, ale co za jasełka!

— Oto pesebres — szepnął mój przewodnik.

Sztuczne skały tworzyły grotę stalaktytową w jednym z kątów pokoju. Liście palm zwieszają się nad

nią ogromnemi wachlarzami, gałęzie tuj, cedrów, oleandrów, azalij, magnolij, wetknięte w darninę, rozestaną na podłodze, otaczają gęstwiną wonną otwór groty, w której głębi widnieje św. Rodzina. Dzieciątko Jezus w żłobku, obok Matka Boska i św. Józef, odziani w suknie, uszyte przez córki gospodarstwa. Na obszernej łące, przed grotą, owce, krowy i konie, a wśród nich pasterze, zadarłszy głowy, podziwiają wielką gwiazdę jaskrawą, połyskującą w obłokach z muślinu. Zdała, w szatach barwnych, przetykanych złotem i srebrem, nadeciągają Trzej Królowie na wielbłądach, otoczeni orszakiem licznym sług, niosących dary dla Nowonarodzonego. Pośród liści unoszą się roje aniołków, kołysanych lada powiewem.

U skraju murawy, w świetle lamp, ustawionych tu rzędem, widnieją zabawki, ofiarowane dnia tego dzieciom przez rodziców.

Aż język świerzbi, aby huknąć wobec tych jasełek nasze odwieczne:

W żłobie leży,
Któż pobieży
Kolędować Małemu?...

Ale tu obyczaj inny. O śpiewie nabożnym mowy niema, zato trzeba chwalić jasełka, aby nie być posądzonym o gburowatość, to też szepcemy z zachwytem:

— *Mira, que lindo, que rico!* *

Skinąwszy głowami gospodarzom, ruszamy w dalszą drogę.

Zwiedziliśmy w ten sposób kilka jasełek, urządzonych zawsze ze smakiem, a nieraz z przepychem nawet.

* Patrz, jakie piękne, jakie bogate!

Im bliżej wszakże krańców miasta, tem jasełka uboższe, język hiszpański rzadziej słyszeć się daje, natomiast gościnność wzrasta.

— *Ejke karai, ejke karai!* * — zapraszano nas wszędzie w języku Guarani.

Jeżeli pokój był obszerny, to przynoszono krzesła, sadzano nas wprost jasełek, częstując kanią (wódka z trzciny cukrowej) i cygarami. Gdzie zaś izby ciasne, rozstawiano krzesła na podwórzu, pod rozłożystymi konarami figowców lub magnolij.

I tak, siedząc kółkiem, popijaliśmy już rzadziej kanię, natomiast tykwa z yerbą krążyła z rąk do rąk przy gawędce wesołej. Ja, co prawda, najczęściej słu-chałem tylko, przeważnie bowiem używano języka Guarani, z całego zaś słownika tej mowy pierwotnej Paragwajczyków znałem zaledwie kilkanaście wyrazów, jak *ee* (tak), *ahanyri* (nie), tłumacząc, że jestem *pitagwá* (cudzoziemiec).

Zato z przyjemnością obserwowałem tych ludzi prostych, uprzejmych i gościnnych.

Niektóre z dziewcząt, uczestniczących w rozmowie lub spełniających obowiązki gospodyń, połyskiwały przy każdym ruchu czarującemi, żywemi klejnotami, wpiętymi w krucze włosy, albo też przypiętymi do gorsu. Niekosztowne to klejnoty, bo tylko tryskające jasnym, zielonawem światłem, żywe świetliki południowo-amerykańskie (*Luciernaga, Pyrophorus*, w języku Guarani: *Tacá*), uwięzione w węzełkach z muślinu. A jednak brylant najczystszej wody nie mógłby dorównać im blaskiem.

* Wejdźcie ludzie, wejdźcie ludzie!

Już ze dwie godziny wędrowaliśmy tak z domu do domu, gdy łaskawy mój cicerone zawołał:

— Zapomniałem o Mercedes! Spotykam się często z jej ojcem, odwiedzić wypada. Zobaczy pan, co za *mitá iponá*.*

I ruszyliśmy do owej Mercedes.

W pokoju z jasełkami zastaliśmy grono młodzieży płci obojga. Jedna z panien, prześliczna, istotnie, brunetka, o typie wybitnie andaluzyjskim — już na pierwszy rzut oka nie *hija del pais*, lecz *pura sangre Castellana*** — podeszła do nas. Młody Paragwajczyk trącił mnie i szepnął: Mercedes!

A panna zapraszała już nas, wskazując na krzesła:

— *Adelante caballeros, adelante...****

Zasiedliśmy naprzeciwko pięknych, rześisto oświetlonych jasełek. Śliczna gospodyni zabrała nam kapelusze i laski, a zaniósłszy je do sąsiedniego pokoju, powróciła stamtąd z karafeczką kani i kieliszkami na tace.

— *Legítima paraguayá***** — mówiła, nalewając złotawy napój do kieliszków.

Mój towarzysz, zoczywszy na oknie gitarę, podał ją pannie.

— Zaśpiewaj nam, seniorito.

— Prosimy! — zawołała młodzież chórem.

Mercedes ociągała się długo, wobec jednak nalegań, wstała, przyniosła garść zgrabnych cygarek, poczęstowała niemi wszystkich, nie wyłączając panien,

* Ładna dziewczyna.

** Nie córka kraju (zwykle metyska lub mulatka), lecz czysta krew kastylijska.

*** Zbliźcie się, panowie, zbliźcie.

**** Prawdziwa paragwajska.

puściła z karminowych usteczek pod pułap cieniutką strugę dymu i, uśmiechając się przymrużonemi, czar-nemi oczyma, zaśpiewała przyjemnym głosem pio-senkę hiszpańską, przebierając długimi palcami śnia-dej rączki po strunach gitary.

Za pierwszą piosenką, mozolnie wyproszoną, po-szła już łatwo druga i trzecia. Poprosiłem o piosenkę Guarani. Po krótkim namyśle, zaśpiewała coś, z czego ani słowa nie zrozumiałem, wiem tylko, że melodia była smutna i monotonna, oraz, że nawet język Gua-rani rozbrzmiewa mile w ustach pięknego dziewczęcia.

Bawiliśmy się w najlepsze przed jasełkami, gdy powietrzem wstrząsnął dźwięk dzwonów kościelnych.

— Czas powitać Boże Narodzenie! — zawołała piękna gosposia.

Ożywiły się wertepy ciemnych ulic. Wśród kona-rów niewidzialnych drzew, pachnących silnie w tę noc upalną, błyskały co chwila świetliki, w dole zaś sunęły czerwonawe światelka latarek gromadek ludz-kich, podążających w stronę katedry. Zewsząd dola-tywał gwar rozmów i śpiewów. Towarzyszył im, wi-brujący w powietrzu, dźwięk dzwonów kościelnych.

Podążyliśmy za tłumem. Wysokie, czarne kontury katedry rysowały się wyraźnie na przesiąkłym gwia-zdami tle głębokich niebios. Przez otwarte naoścież drzwi i okna świątyni buchały potoki światła, tony organów i pieśni nabożnych.

Wewnątrz urządzono również jasełka wspaniałe, tonące w blaskach świec i morzu zieleni.

Z chóru biły pod wysokie sklepienia dźwięki orga-nów, orkiestry i śpiewu. W stallach prezbiterjum za-siadło duchowieństwo, dwoma długimi szeregami.

Obszerną świątynię zapełniały, siedząc na krzesłach lub wprost na podłodze, same niemal kobiety w czarnych szalach na ramionach, z wachlarzami i chusteczkami w dłoniach. Twarze ich śniade, silnie pudrowane, zdradzają raczej ciekawość, niż skupienie ducha. Pomiędzy publicznością snują się lub śpią psy, przeważnie wielkie, morągowate, tamując nieraz przejście.

Było już po północy, gdyśmy opuścili świątynię. Na placu katedralnym tłumy mężczyzn wyczekiwały końca nabożeństwa i wyjścia kobiet, a tam, w górze, nad ziemią, obchodzącą narodziny Pana, Krzyż Południowy rozłożył szeroko ramiona...

Szedłem obok Mercedes.

Od strony rzeki powiało chłodem. Liście palm, figowców, magnolij odezwały się szelestem przeciągłym.

— To nieszczęśliwi płaczą — rzekła poważnie moja uroczą towarzyszką.

— Z jakiego powodu płakać mogą w tę noc radości? — spytałem, zaciekawiony.

— Więc senior nie zna legendy o tym, co w grocie betleemskiej płakał?

— Nie! Opowiedz legendę, seniorito.

— Jeżeli senior sobie tego życzy...

— Bardzo!

— A zatem — mówiła — gdy przyszli pasterze oddać hołd Dzieciątku, zjawił się też czarny niewolnik z dalekich pustyń libijskich i, przypadwszy do żłóbka, modlił się i płakał.

Wówczas jeden z hołdowników, nie mogąc docisnąć się do jasełek, odepchnął płaczącego.

— Dlaczego odpychasz tego człowieka? — zawołał święty Józef.

— Nie człowiek to, jeno niewolnik — odparł skarcony.

— A ty kim jesteś?

— Człowiekiem wolnym!

— Więc ja ci powiadam — rzekł święty — że za sprawą Dzieciątka, tu w żłóbku leżącego, ten nieszczęśliwy tobie równy będzie.

A słysząc to, niewolnik płaczący zaszlochał jeszcze serdeczniej.

I oto dlaczego, gdy wiatr zaszumi w tę noc uroczystą, powiadamy, że nieszczęśliwi płaczą.

— Seniorita w to wierzy? — spytałem.

— Nie, u nas w święta zawsze tak wesoło!

A jednak, gdym wrócił do hotelu, a upał nie dawał mi zasnąć, legenda o tych, co w noc radosną płaczą, snuła mi się wciąż po głowie.

A może — wdzięk słów opowiadającej?

*

W kilka dni potem parowiec unosił mnie zpowrotem do Buenos Aires.

Gdy wpłynęliśmy na wody Parany, spostrzegłem, że mijamy, nie zatrzymując się, przystań miasta Corrientes.

Na zapytanie o przyczynę tego, usłyszałem odpowiedź:

— W Corrientes ot, jedna ze zwykłych rewolucyjek. Ale przystawać tam byłoby, bądź co bądź, niebezpiecznie. Słyszysz pan strzały?

Istotnie, gdym się wsłuchał, uszu mych doleciał odgłos dalekich strzałów karabinowych.

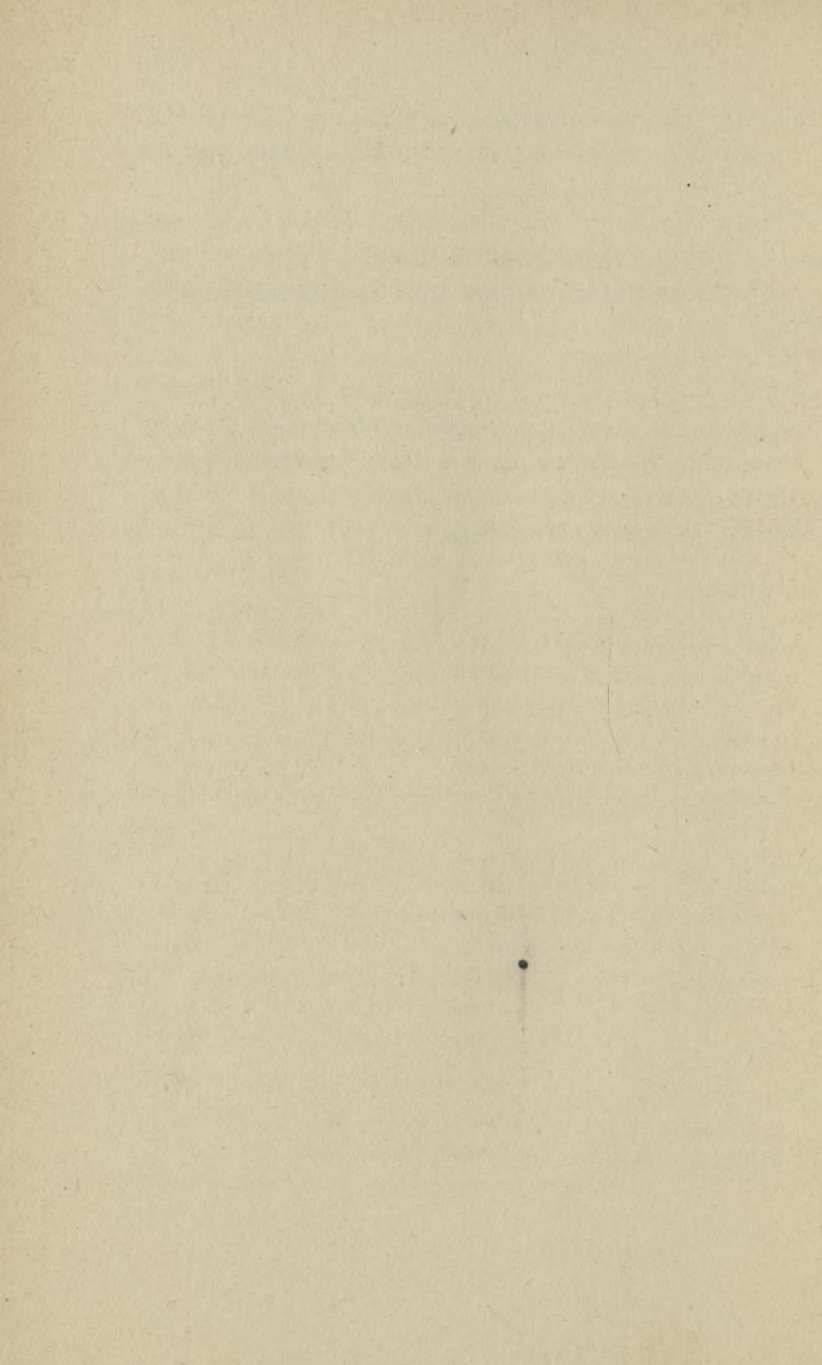
Wkrótce też, już poniżej miasta, ujrzeliśmy dwie kanonierki argentyńskie, pełne wojska, płynące w górę rzeki całą siłą pary.

Płynęły poskramiać rewolucję. Którą z rzędu w samej tylko Argentynie? A przecież kraj ten nie jest wyjątkiem wśród państw południowo-amerykańskich!

Gdzież przyczyny?

Mistrzowskim piórem zanalizował je Józef Conrad w powieści swej „Nostromo”. Arcydzieło to dało mi pochoch do wspomnienia i o tym szczególnie włączyłem do ciemnych wodach Paragwaju.

Nic się tam nie zmieniło.



Spis rozdziałów.

	Str.
Wstęp	3
Rozdział I	11
Z pokładu „San Martina“. — Wyspa Martin Garcia. — Paraná. — Królestwo wapna i węgla. — Corrientes. — Gaucho korentyński. — Języki Quichua i Guarani. — Na ciemnych wodach Paragwaju.	
Rozdział II	21
Rzeka Paragwaj. — Aligatory. — Pomarańcze. — Cerro Lambaré. — Asuncion. — Królestwo kobiet. —	
Rozdział III	31
W górę Paragwaju. — Na parowcu. — Kogut bojowy. — Indianie Toba. — Sęp Urubu. — Herbata paragwajska. — Pułk. Chodasiewicz. — Ogniska Indian. — Żegluga nocą.	
Rozdział IV	43
Ptactwo nadrzeczne. — Kapibara. — Carpincheros. — Pustelnik polski. — U dziwaka. — Modlitwa Pańska.	
Rozdział V	53
Rzeka Jejuy. — Gryzące ryby. — Ślady zwierząt. — Syk aligatora. — Boa w dziupli. — Concepcion. — Indianie Sanapana. — Handel zamienny. — Legendy Indian szczepu Guarani.	
Rozdział VI	71
Colonia Risso. — Psy i jaguar. — Przygody z tym drapieżnikiem. — Na pampie. — Vaqueros. — Chwytnie bydła. — „Mamy tygrysa!“	
Rozdział VII	79
Polowanie z lassem na jaguara. — Puerto Casado. — Fabryka garbnika. — Plaga krain podzwrotnikowych. — Swoi na obezryźnie.	

Rozdział VIII	91
Wycieczka w głąb kraju. — Częstochowa paragwajska. — Paraguari. — Paragwajski przemysł ludowy. — W Villa Rica. — Przyjazd prezydenta.	
Rozdział IX	100
Wyjście. — Przygoda papużki. — Kolonja Presidente Gonzales. — „Co za barbarzyństwo!“ — U d-ra Ruiza Diaza. — Kassawa. — Odwet. — Tańce paragwajskie. — Tango Argentino.	
Rozdział X	111
Znów w pociągu. — Opowiadanie prezydenta. — W Asuncion. — Pesebres. — Żywe klejnoty. — Na pastercie. — Legenda donii Mercedes. — Wyjazd. — Rewolucyjka. — Zakończenie.	



Spis rycin.

1. Parowiec „San Martin“.
2. Rzeka Paragwaj pod San Bernadino, na pograniczu Brazylii.
3. Widok Asuncion z lotu ptaka (na pierwszym planie na lewo pałac dyktatora Lopeza).
4. Pałac dyktatora Lopeza, obecne miejsce urzędowania prezydenta Rzeczypospolitej Paragwajskiej (od strony ulicy).
5. Targ w Asuncion.
6. Sprzedawca węgla drzewnego na ulicach Asuncion.
7. Karawana wołów objuczonych herbatą „Yerba maté“ na drodze paragwajskiej.
8. Indjanki szczepu Lengua gotowe do tańca o worek pomarańcz.



10,00

2

S. 61

Biblioteka Politechniki Krakowskiej



II-348136

L. inw. 57002

Kdn. Zam. 480/55 20.000



Biblioteka Politechniki Krakowskiej



10000231503

139187
19/XII

12. <i>W. Scott.</i> Talizman. Brosz. zł. 3'90, karton	5 40
13. <i>Z. Sosnowski.</i> Życie w akwarjum. Brosz. zł. 5'60, kart.	7—
14—15. <i>Z. Urbanowska.</i> Róża bez kolców. Cz. I i II. Brosz. po zł. 6'40, karton	7 80
16. <i>H. Allorge.</i> Walka światów. Brosz. zł. 4'60, karton	6—
17. <i>K. A. Czyżowski.</i> Jim żeglarz. Brosz. zł. 4'60, karton	6—
18. <i>J. Siemiradzki.</i> O czym mówią kamienie. Brosz. zł. 5'40, karton	7—
19. <i>F. A. Ossendowski.</i> Pod polską banderą. Brosz. zł. 6'20, karton	7 80
20. <i>F. Burdecki.</i> Podróż międzyplanetarne. Brosz. zł. 3'50, karton	4 80
21. <i>J. Verne.</i> Wyprawa w głąb Afryki. Brosz. zł. 6'80, kart.	8 40
22. <i>J. M. Dąbrowa.</i> Telewizor Orkisz. Brosz. zł. 6'50, kart.	8—
23. <i>F. A. Ossendowski.</i> Wańko z Lisowa. Brosz. zł. 8'80, kart.	10 40
24. <i>J. Verne.</i> Tajemniczy gród w pustyni. Brosz. zł. 6'40, karton	8—
25. <i>F. Burdecki.</i> Budowa wszechświata. Brosz. zł. 5'20, karton	6 80
26. <i>W. Szafer.</i> Yellowstone, kraj gorących źródeł. Brosz. zł. 5'60, karton	7 20
27. <i>B. Fournier d'Albe.</i> Cuda fizyki. Brosz. zł. 4'40, kart.	6—
28. <i>St. Malec.</i> Harce elektronów. Brosz. zł. 4'80, karton	6 40
29. <i>F. A. Ossendowski.</i> Zagończyk. Brosz. zł. 5'20, karton	6 80
30. <i>B. Bobrowska.</i> Janek w Legionach. Brosz. zł. 3'90, kart.	5 40
31. <i>M. Smolarski.</i> Przygody polskich podróżników. Brosz. zł. 4'80, karton	6 40
32. <i>F. Burdecki.</i> Tajemnice Marsa. Brosz. zł. 5'60, karton	7 20
33. <i>J. Meissner.</i> Licznik z czerwoną strzałką. Brosz. zł. 4'60, karton	6—
34. <i>M. B. Lepecki.</i> Na Amazonce i we wschodnim Peru. Brosz. zł. 8'20, karton	9 80
35. <i>S. Przybylski.</i> Goniec królewski. Brosz. 5'60, karton	7 20
36. <i>S. Łoś.</i> Strażnica. Brosz. 4 60, karton	6—
37. <i>J. Makarczyk.</i> Przez morza i dżungle. Brosz. 6—, karton	7 60
38—39. <i>M. Jarosławski.</i> Między Eufratem a Tygrysem. Brosz. zł. —, kart	—



Biblioteka Politechniki Krakowskiej



II-348136

Biblioteka Politechniki Krakowskiej



10000231503